



Egz. archiwalny IBL

HYPOTEKA
SZCĘŚCIA MAŁŻEŃSKIEGO.

STUDYUM I^{sze}.

CZEŚNIKIEWICZA.

WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI H. NATANSONA.

1860.

HYPOTEKA
SZCZĘŚCIA MAŁŻEŃSKIEGO.

STUDYUM I^{te}

HYPOTEKA
SZCZĘŚCIA MAŁŻEŃSKIEGO.

WARSZAWA
W Drukarni Gazety Godzinowej

1880

HYPOTEKA

SKOŃCZONA MAJENŃSKIEGO

HYPOTEKA SZCZĘŚCIA MAŁŻEŃSKIEGO.

STUDYUM I^{sz.}

CZEŚNIKIEWICZA.



**INSTYTUT
BADAŃ INTERAKCJI PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNÉJ.

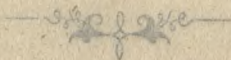
1860.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 5 (17) Lutego 1860 roku.

Cenzor, **A. Funkenstejn.**



WARSAWA

W DZIŚNIACH

WARSZAWY

WARSAWA

W DZIŚNIACH

1860.

P R O L O G.

Wszem w obec i każdemu z osobna wiadomo, że człowiek młody, zaledwie szkoły skończy i ciemniejszy mech na wąsach swoich zobaczy, uczuwa natychmiast wielką chęć do zawarcia związków małżeńskich. Te same skłonności okazują się w szesnastoletniej panience.

Przy takim płci obojga usposobieniu, niepojęta rzecz, dlaczego tak często kawalerowie doczekują się szronu na włosach w celibacie, a panienki nieraz po trzydziestu latach w dziewictwie siewają rutkę?

I to rzecz wiadoma powszechnie, że rodzice kochając dzieci, powinni by wcześniej swatać te dzieci, czyniąc zadość głosowi ich serca. Zaledwie panienka dorosnie, wszystkie ciotki i przyjaciółki domu poczuwają nieposkromioną ochotę swatania, i nie popróżnują już ani na chwilę, uwijając się skrzętnie około wynalezienia odpowiedniej partyi dla panien-

ki. To samo staranie widać około młodego chłopca, jeżeli tylko jest ładny i obyczajny, a każdy ma przecież ciotek i przyjaciółek dostatkami.

Zdawałoby się, że nic łatwiejszego jak ożenienie na świecie. Jak to tam bywało w pierwszych wiekach dziejów ludzkości? — nie wiadomo. Mówi nie tak stare przysłowie nasze, że *z konia spaść a ożenić się, nic łatwiejszego!* Dzisiaj przecież ożenienie się jest procesem niesłychanie trudnym. Dlaczego? Bo ludziom chodzi o ubezpieczenie szczęścia małżeńskiego, i mają wielką racją.

Nie pojmuję, jak ludzie, krzątając się od wieków około udoskonalenia organizacji społecznej, mogą urządzić wprzód rzeczy mniejszej wagi, zachowując na później kwestye najżywotniejsze!

Małżeństwo jest niezaprzeczenie najważniejszym aktem w życiu ludzkim. Żeniąc się, ryzykujemy całą przyszłość w tym związku: albo już wszystkie dni będą miodowymi aż do śmierci, albo małe piekielko zbuduje się w tém nowém ognisku rodzinném.

Myślano o ubezpieczeniu własności oddawna, zbudowano księgi hipoteczne dla nieruchomości, prawo wekslowe dla kredytu ruchomego; łatwiej przecież odczepić się od złego dłużnika lub wierzyciela, jak od złej żony lub męża.

Niechaj mię Pan Bóg broni od naruszenia dzisiejszych warunków małżeństwa: ja szanuję prawa i obyczaje narodów chrześcijańskich; wszelako nim się pomyśli o wynalezieniu ubezpieczenia na trwa-

łe szczęście małżeńskie, trzeba zobaczyć pierwój te warunki dziś obowiązujące.

Małżeństwo jest koniecznością; człowiek sam na świecie nie wyżyje; dusza, serce, krew i ciało wołają o te związki.

Małżeństwo musi być dozgonném koniecznie. Dlaczego?—bo wymaga tego przyszłość dzieci. Rozejście się małżeństwa zostawiłoby działwę tylko z połową opieki; gdyby poszła za ojcem, pozbawioną zostanie straży serca, nie rozwinie się bez pieczy matczynych uczucie; gdyby poszła za matką, utraci ster rozumowy, nie rozwiną się po mężku władze umysłu, nie spotęguje rozum. Zmarniałaby połowa natury człowieczej nie rozwijana.

Małżeństwo dlatego że jest dozgonném, powinno być szczęśliwém; w przeciwnym razie człowiek straciłby charakter chrześcijański, skłonność do poświęceń i ofiary w stosunkach z resztą świata, gdyby już całe męczeństwo wytrzymał w małżeństwie.

Jakże tu pogodzić wszystkie te trzy warunki? O tém téż ludzie myślą, a nie znajdując żadnej gwarancyi na przyszłość, usiłują przy swataniu się par młodych przewidzieć wszystko: zbadać charaktery obojga, warunki egzystencyi, a po wypróbowaniu wszystkiego, lepi się nareszcie stadło. Rodzice, ciotki, przyjaciele zrobiwszy swoje, nie mając już nic do wyrzucenia sobie, przypatrują się dopiero co dalej będzie: jakie pożycie, jakie szczęście?

Powiodło się małżeństwo, wszyscy się szczycą dobraniem pary: rodzice, ciotki, przyjaciele, wszyscy razem i każde z osobna wysławiają swoje trzy grosze wtrącone do uszczęśliwionego związku. Nie powiodło się małżeństwo, każdy umywa ręce, nieprzyznając się do namowy, do rady; owszem, każde zacytuje wyraźnie robioną przez siebie uwagę, świadkami się wywiedzie, że jako żywo nie tylko nie pomagał, ale z duszy i serca odradzał te nieszczęśliwe związki.

Taki jest stan korowodu małżeńskiego, a na świecie coraz gorzej, bo coraz więcej starych kawalerów, starych panien i małżeństw nieszczęśliwych. Wiek XIX^{ty} zaleca się mnóstwem odkryć i wynalazków, duch twórczy natchnął całą surdutową ludność; mnóstwo talentów i geniuszów, myślicieli i organizatorów: czas też pomyśleć o trwałości małżeńskiego szczęścia na naszej półkuli ziemskiej, bo w Ameryce ruch wielki na tej drodze. Znękana tyloletnią niewolą kobieta, przestała łązy wylewać i wzdychać: krząta się pilnie około emancypacji. Ameryka północna najeżyła się klubami, wre sejmikami kobiecemi, odzywają się tam głosy coraz śmielsze: wypadło już, śmiało mało powiedzieć, ale bohaterkie słowo z ust niewiasty: „Kobieta będzie wolną, nie krępowaną żadnemi obowiązkami na życie całe; małżeństwo dożywotnie istnieć nie może: kobiecie wolno ma być opuścić męża swojego, kiedy jej się spodoba tylko.”

Co to za szczęście dla nas, że telegraf atlantycki nie udał się w tych czasach; mniejsza o przemysł i handel, ja lękam się za szybkiego odbicia echa amerykańskich pragnień w Europie. Mnie tak dobrze z dzisiejszemi warunkami małżeństwa! Poczynam błogosławić baszę Egiptu za opór, jaki stawia przekopaniu międzymorza Suez; kto wie, coby nam z południowej Azji przyniosła za szybka komunikacya?

Dawno ja miałem zamiar popracowania nad teorią małżeństwa; że jednak byłem kawalerem, a nie miałem zamiaru w celibacie pozostać do śmierci, nie wypadało mi zabierać się do téj sprawy. Jużto kawalera posądzonoby o nieznajomość serca kobiety i słodczy związków małżeńskich, praca więc moja zginęłaby bezowocnie, tym ciężkim zarzutem ugodzona śmiertelnie. Co zaś ważniejsza, to przesąd ludzki, który nie pozwala kawalerowi poglądu krytycznego na małżeństwo. Zaraz powiedzą: a to niepocziwy libertyn naruszający związki najświętsze! A to stary dziwak, zadziczały w celibacie! A to manarowy do złamania niepodobne! Z taką opinią, pewno nie dostałbym żony, co byłoby klęską dla biednego serca mojego, które tak kochać pragnęło. Gdy jednak stanąłem u szczytu marzeń swoich o szczęściu, poślubiwszy najukochańszą istotę, i wziąłem charakter dojrzałego obywatela, uczciwszy obowiązki i powinności najświętsze, zabrałem się już śmiało do studyowania po swojemu małżeństwa, na jego pożytek.

Nie jestem tak zuchwałym, ażebym sobie przyznawał geniusz wynalazczy, albo prawodawczy. Ja robię studia, aby przygotować materiały dla geniuszu twórczego; a jakie już zebrałem?—zobaczcie sami.

I.

KŁOPOTY WDOWIEŃSTWA I PIERWSZA DŁUGA SUKIENKA.

Pani Nałęczowa, z domu Korczakówna, owdowiała w najnieszcześniejszej epoce życia swojego, bo miała lat trzydzieści dziewięć i dwie córki: jedną trzynastoletnią Marynię, drugą jedenastoletnią Jadwisę. A już to owdowiała najnieszcześniej, powiadam państwu, a nigdy też wprzód zupełnie szczęśliwą nie była.

Rodzice wydali ją za mąż, bo trafiła się dobra partya: tak zdawało się i jój samój. Nie była wcale zakochaną w swoim narzeczonym; ludzie zaręczali, że gdy związek odpowiedni, to przywiązanie znajdzie się niezawodnie, zwłaszcza, że i oboje ludzie przystojni i dorzeczni. Zdarzyło się jednak przeciwnie: pan Nałęcz nie należał do istot serdecznych, panna Korczakówna marzyła znowu o przywiązaniu bez granic. Gdy się tedy pobrali, nie widać było gorącej miłości; przepowiadacze wyczekiwali na nią bardzo długo, aż i wyczekiwać przestali, bo najwidoczniej mąż o własnych tylko przyjemnościach myślał, a żona nawzdychawszy się i napłakawszy

po kątach, uległa przeznaczeniu i pchała ciężar życia przed sobą mozolnie. Na pozór małżeństwo to wyglądało bardzo przyzwoicie; chociaż zimno lodowe zawiewało od niego, nie było przecież gorzącém. Niepodobna było obejść się tkliwój kobiecie bez kochania, Bóg wie coby się stało z niezadowolnioną potrzebą serca, odzywającą się coraz gwałtowniej, gdyby Pan Bóg nie zesłał był pociechy nieszczęśliwój żonie w ślicznej córeczce, którą téż zaraz najtkliwiej kochać poczęła. Po dwóch latach znowu dał Pan Bóg i drugą pociechę; — i tę miała szczerą ochotę kochać, ale to już nie jój wina, że pierwsza zabrała wszystkie prawie skarby serdeczne, więc dla drugiej mało zostało. Odtąd poprawiła się dola pani Nałęczowój, był już cel życia, więc to życie poszło weselej, wzdychania ucichły, oschły śliczne oczy; zamknęła się w domu poczciwa matka, otoczyła nieliczném kółkiem serdeczniejszych znajomości, i żyła sobie jak mogła na tym tu biednym świecie.

Czy mężowi dobrze z tém było, nie wiadomo; to tylko pewna, że był wesół, towarzyski, admirował wdzięki i cnoty niewieście, z towarzyskami po miasteczkach hulał, grywał z rozmaitym grymasem szczęścia w karty francuzkie. I dla żony dostawała się pewna poreya jego czasu; wiedział on dobrze, że małżeństwo ma pewne obowiązki, a więc na domowe szczęście zostawiał niesmak, gdy go co na świecie dobodło, marudził, zrzedził ile razy z jego

niedbalstwa zajrzał jaki niedostatek do domu, lub komornik sądowy ze złém wychowaniem. Nareszcie znudziło mu się widać na świecie, bo zachorował sobie i umarł, niczego nie żałując na świecie.

A umarł, jak wam powiedziałem, w czasie najniewłaściwszym dla biednej żony; umarł jak gdyby na dokuczenie z planu systematycznego, i nie mógł zadać jój ciosu dolegliwszego. Żeby tak bardzo płakała i rozpaczała jak to powinny robić żony z obowiązku i zwyczaju w czasie pogrzebu, tego powiedzieć nie mogę. Płakała umiarkowanie, jak przyzwoitość nakazuje, uspokoiła się sama prawie, a z wdowieństwem było jój wcale dobrze, bo odzyskała niepodległość. — Ale...

Otóż to ale nieszczęśliwe, które wtrąci się zawsze do spraw ludzkich, owę swobodę pani Nałęczowej zatrąło nielitościwie. Jakim sposobem? — zaraz zobaczymy.

Pani Nałęczowa zachowała dotąd urodę nadzwyczaj świeżą: należała do prawdziwych piękności. Wielbiciele nie brakłoby jój niezawodnie; serce dręmało dotąd — ono mogło odezwać się jeszcze z całą siłą kochania, gdyby tylko znalazło przedmiot kochania godny. Ale córeczki jój nadraszały, dwadzieścia lat blisko przepędziła w związkach małżeńskich: coby téżto powiedzieli ludzie, gdyby drugi raz za mąż poszła? Naturalnie, że ludziom wcaleby się to nie podobało. Prawiliby Pan Bóg wié nie co o obowiązkach matki względem dzieci, o powadze

wdowieństwa, o okrucieństwie ojczymowskiem, o niedoli i szkodzie majątkowej sierot: bo czegoż ludzie nie trzęsą i nie nicują na tym świecie? A przecież ona była tak jeszcze młodą, tyle miała doświadczenia, takby umiała dzisiaj wybrać, kochać!

Otóżto smutna dola młodej wdowy!

Ale pani Nałęczowa miała serce dobre, rozsądek zdrowy, siłę woli niepospolitą, wstyd prawie dzieciwicy, dlatego nie wahała się długo formując sobie plan życia, i postanowiła ostatecznie pozostać do śmierci wdową, wspominać męża nieboszczyka jak najlepiej, a rozkoszować się opinią ludzi, którzy wyrzekną o niej, że jest zacną niewiastą.

Rok żałoby przepędziła pani Nałęczowa w największym odosobnieniu od świata; po téj żałobie od kolorów czarnego do popielatego, od popielatego przeszła do orzechowego; ubierała się zawsze elegancko, ale już barw tęczyowych na strój nie używała. Wszelako do domu przyjmować zaczęła ludzi ochotnie, starała się zawsze o dorosłe kuzynki na bawialne, zaglądała i sama pomiędzy ludzi: wiek Maryni i Jadwiśi usprawiedliwiał to jój garnięcie się do świata, na który trzeba było wyprowadzić dwie śliczne jak aniołki dziewczyny, i coś o ich losie postanowić.

W miarę atoli utwierdzania się w powadze matrony, pani Nałęczowa coraz jaśniej patrzeć na świat poczęła: wady i grzechy ludzkie były dlań coraz wyraźniejszymi. Widziała młodzież swawolną, pa-

nienki zanadto swobodne, starszyzną poniewierającą się dobrowolnie, młode małżeństwa bez szczęścia w pożyciu, marnotrawstwo mężów, nierządne żony. A gdy jój zrobiło się zupełnie jasno w głowie, sformowała sobie pewien szyk wyobrażeń o świecie, nabrała stałych i zdrowych przekonań, uczuła się wielce doświadczoną kobietą, a wszystkie skarby wiedzy i uczucia swojego, postanowiła spożytkować dla dzieci. „Dosyć byłam ja sama nieszczęśliwą, dosyć napatrzyłam się na niedolę innych ludzi, ażebym lekkomyślnie ryzykowałam los ślicznych moich sierotek. Marynia i Jadwisia pójdą za męż, bo takie ich przeznaczenie, ale nie będą nieszczęśliwemi, bo ja pomyszę o ubezpieczeniu ich szczęścia w małżeństwie.” Tak sobie planowała pani swojej woli i pani losu dwóch córek swoich, wdowa, na mocy intercyzy przedślubnej będąca panią swojego posagu nienaruszonego, a dożywotniczką majątku po mężu zaszarganego w długach.

Dziwna rzecz, co się dzisiaj stało z naszym społeczeństwem szlacheckim! Mężczyźni rozhułani, potracili energią, zabiegłość, gospodarność i bardzo często przyprowadzają majątek nad przepaść zgubną. A gdy widzą niebezpieczeństwo, czasem zachorują i umierają, zostawiając wdowy biedne w największym kłopotcie, które przecież zawsze dają sobie radę w nieszczęściu. Czasem znowu nie umierają na śmierć zwierzęcą, ale tylko na śmierć cywilną, to jest, że ich małżonki idą do separacyi,

oddzielają majątek od mężowskiego, i biorą ster interesów do ręki. Mąż staje się wtedy jakby *civiliter mortuus*, a żona czasem wyznacza mu alimenty regularne, lub pewne subsidia kieszonkowe od czasu do czasu wedle łaski, a majątek przy oszczędności i regularnym trybie, wychodzi z długi. Są mężowie, którzy się wcale nie wstydzą tej poniżającej roli konia na pańskim obroku, i sami pomagają sobie do tej biernej roli na świecie; są i tacy, którzy bywają prawem do tego zmuszeni, i komornik sądowy detronizuje ich bez miłosierdzia. Koniec końcem, ile razy słyszę o upadłej masie majątkowej, zwykle traci ją mężczyzna; — ile razy zaś tylko słyszę o odratowanym majątku, prawie zawsze wydobyła go z przepaści kobieta.

Nic tedy dziwnego, że pani Nałęczowa dała sobie radę niebawem. Posag jej trzechkrociowy stał na hipotece zaraz po Towarzystwie Kredytowém; były pono i dwie raty Towarzystwu Kredytowemu nie opłacone; gdy więc wioski wystawiono na licytacją publiczną, ona je kupiła, mało co zapłaciwszy wierzycielom pieniędzmi pożyczonemi od brata. Reszta spadłych wierzycieli została na jej łasce; ludzie obznajmieni z prawem i nadużyciami lichwiarzy, radzili jej dobrze; utrzymała tedy na wodzy stado lichwiarzy, płacąc to jedynie, co nakazywała uczciwość. Pomógł potem bór zaszanowany, lata urodzajne, wysoka cena produktów: nie trzeba było czekać długiego czasu, pani Nałęczowa miała naj-

czyściejszy majątek i sporą gotówkę. Zwąchała też to młodzież; a lubo Marynia, piescioszka mamy, już skończyła szesnaście latek, a była prześliczną blondynką, rosłą, wysmukłą, bieluchną, miała czarne oczy, ciemne brwi, a rzęsy u powiek cudownej piękności, że aż serce topniało, patrząc na zbiór tyłu wdzięków: przecież matka, pani szerokich włosów, urocza majestatem poważniejszych wdzięków, niesłychanie była powabną. Mimo dawananej sobie powagi, dwa razy konkurentom dawała ustną dymissyę, a siedm razy odpowiadała swatom, że za mąż iść nie myśli. Ta natarczywość konkurentów, często młodszych od niej daleko, spowodowała dziwne uprzedzenia do świata w jej sercu. Spozrzęła to wyraźnie, że spekulacyjny rozum przeważa nad uczuciem w ogóle młodzieży; marnotrawstwo zwykło reparować fortunę ożenieniem, a kto ma wygodną egzystencyą, prowadzi życie swobodne, o małżeństwie ani myśląc. Domy kawalerów napelnione bywają rozlicznym zgorszeniem. Dopiero przy schyłku fortuny, urody i zdrowia, panowie kawalerowie krzątać się poczynają około ożenienia. „O! poczekajcie wisusy! — pomyślała sobie rozsądna wdowa — będę ja umiała wybrać z pomiędzy was zięcia, a dziewczęta muszą być posłuszne mej woli, bo cały majątek jest moim. Nie dam ani grosza posagu, gdy nie będziecie szanowały mojej woli; a niechaj tylko powiem o tém głośno, odpadną konkurenci, których sobie nie życzę.”

Po takim postanowieniu, przychodziły znowu słodkie sny kochanej mamie. Przypominały się w tych snach młode lata, marzenia i miłości pragnienia serdeczne. Zdawało jej się, że ją aż coś za serce ściska; widziała nawet raz we śnie anioła stróża klęczącego na obłoku śnieżnym, który miał ręczęta złożone bardzo pobożnie, twarzą smutną, a modlił się do Boga rzewnie, gruchając miłuchnym głosem gołąbka: „Panie mój! zmiłuj się nad dziewczátkami młodem, nie rzucaj ich w ręce mężów wybranych rachunkiem starszyny osamobiałej, bo przepłakałyby całe życie. Pozwól rozkwitnąć miłości w ich serduszkach, niechaj jej woń upoi szczęściem wybranych Twoich.... Panie mój! zmiłuj się nad sierotami!”

Po takich snach, gdy zbudziła się pani Nałęczowa, przecierała oczy, ściskała budzące ją sieroty, łzy stawały jej w oczach: miewała jakieś postanowienia serdeczne. Ale ku południowi, gdy interesa ziemskie zagłuszyły odzywające się serce, rachunek ziemski brał górę. Planowała znowu rozumem, patrzyła na świat i młode pokolenie ludzi oczyma zimnego krytyka, aż strach pobierał dorastającą Marynię, gdy deklamować poczęła na temat powszechnego zepsucia, materyalizmu, braku wiary, upadku cnót, bo zawsze zakończeniem podobnej tyrady było zwrócenie uwagi dziewczęcia na wybór męża, bo od tego wyboru los całego już życia zależy.

Posmutniały wtedy oczęta biédnej Maryni; ona taka była ładna i słodziuchna, Pan Bóg ją wyraźnie na szczęśliwą stworzył, dla niej trzeba kobierca z fijołków i konwalij na ziemi, nieba tęczami usklepionego, gajów szmaragdowych, wisienek rubinowych, a tutaj świat taki brzydki!... Na ziemi błoto i kurzawa, trawniki szorstkie, gaje oberwane, nie ładne, strumienie mętne, niebo chmurne, a nawet zachwalane poziomki bledną, gdy je w korallowe usteczka chwytą. Do tego wszystkiego dorastającej Maryni snią się aniołki różowe, gdy w baptystowych poduszeczkach strapioną główkę utopi, a mama powiada, że młodzież na świecie same łotry i wisusy! Czy to podobna? Józio taki śliczny, białły jak mléko, wysmukły jak topol, ma hebanowe włosy, aksamitne wąsiki, turkusowe oczy, a kiedy tańczy, zda się, że motyl buja na falach zefiru. Władys szatyn z piwnemi oczami, chociaż nie taki gładziuchny jak Józio, ale za to zdaje się, że granitowej mocy: bije z niego gorąco, które aż parzy. Staś śpiewa jak słowik w gaju, Adaś figlarz nieporównany: czy to podobna, żeby oni wszyscy byli łotrami, zasługującymi na karę śmierci? A jużto chyba pomyliła się mama w sądzie, albo ich obgadano. Zbródnierz inną musi mieć postać niezawodnie! Ma na głowie włosy stojące, oczy jak węgle, zęby wilcze, brodę najeżoną gwoździami, ręce pokrławione; przecież nianka w dzieciństwie opowia-

dała Maryni, jak wyglądali łotrowie, wisusy i zbrodniarze....

Nareszcie Marynia dorosła zupełnie, przestała brać lekcye razem z Jadwisią, a jeżeli jeszcze zachował się jaki stosunek z guwernantką, to już chyba w rodzaju rad, dawanych przy studyowaniu jakiejś trudności muzycznej na fortepianie.

Lubo pani Nałęczowa, wedle zwyczaju obywatelskiego, nie wyprawiła żadnej stypki na instalacyą córki, podniesionę na paniński obroczek z dziecka, przecież rozeszła się wieść niebawem o tém ewenemencie. Marynia została ubraną w długą sukienkę, dostała kołnierzyki i zarekawki haftowane, włosy ułożono jęj w modne pukle tapirowane; Marynia ukazała się prześliczną panienką dorosłą.

Rzecz dziwna, co się tęż to dzieje z panienkami, gdy im powiedzą, że już dorosły! Przed kilka dniami Marynia była naiwném dzieckiem, trzpiotała się, gonila z Jadwisią po ogrodzie, pomagała jęj stroić lalki, a nawet dała nieraz buzi ślicznie ustrojonej lalce: dzisiaj zmieniła się do niepoznania! Jadwisi aż łezki stanęły w oczach, kiedy przyszedłszy do Maryni na naradę, z czegoby zrobić lalce okrycie, — Marynia prawie niegrzecznie odprawiła ją z niczém, upomniawszy, aby jęj nie męczyła dłużęj lalkami, bo ją nudzą te dziecinne zabawy. A kiedy po południu spacerowały po ogrodzie, prześliczny motyl bujał ponad gazonem: Jadwisi aż tehu brało przy gonieniu ślicznego latawca, a Marynia nie

chciała mu zastąpić drogi, nawet spłoszyła go raz chusteczką batystową haftowaną, gdy usiadł na balsaminie różowej wypocząc, — i motyl uciekł, z wielkim smutkiem Jadwisi. Co dziewczęciu przychodziło do głowy? — niewiadomo. Dosyć, że zamyślała się bardzo poważnie, czasem biło jej serce zamocno, a niechaj tylko kto plasnął z bicia w dziedzińcu, biegła do okna natychmiast zobaczyć kto przyjechał. Gniewała się, gdy nikogo nie było; ten gniewek zaraz ktoś poczuć musiał: albo swawoląca Jadwisia upominana o spokojność, albo kanarek ulubiony mamy, który zaczynał śpiewać nie w porę, albo suczka jej faworytka spędzana była z kozetki, na której dawniej marzyła półsennie dni całe o mleku z bułeczką, o cukierkach słodkich i rozkosznych karesach swojej pani. Przyjeżdżali poważni sąsiedzi, przyjaciółki domu, ciocie dobrodziejki: Maryni jeszcze było w domu samotnie. Każdy oglądał ją w nowój tualecie i nowym charakterze: chwalili wszyscy, przepowiadali szczęście na świecie, a Marynia aż wzdychała z niecierpliwości, tak ją ludzie nudzili chwaleniem i przepowiednią szczęścia, którego widzieć nie było. A Jadwisia, patrząc na zły humor kochanej siostrzyczki, zamyślała się także z paluszkami w buzi, dociekając, jaki też to powód być może tak nagłej odmiany humoru panienki? I doszła nareszcie: oto długie suknie są cięższe daleko i niewygodne, dlatego Marynia tak ociężała, spoważniała. Żeby się zaś upewnić

o tém, poszła do jadalnego pokoju, wyciągnęła z szuflady stołu obiadowego wielki obrus, owinęła się nim, opuszczając fałdy aż do ziemi i poczęła skakać. Najoczywiściej przekonała się o niewygodzie długiej sukni, bo gdy wyszła z obrusa i znowu skakała, zdawało ję się, że jest pióreczkiem, jak motylek lekkim; przypatrywała się swoim nóżkom, ugarniowanym w haftowane falbanki majtek i dziwiła się niesłychanie, jak też to ludzie mogą być tak dziwaczeni, żeby pochować takie śliczne nóżki pod fałdy włócząc się sukni i zabijać swobodę dziewczęcą? Na tych studyach zeszedł ją stary kredencarz i marudzić począł, że mu obrus pogniotła, odgrażając się, że powie mamie, jaka z panienki zbytnica! Jadwisia rozśmiała się ze starego sługi serdecznie, potargala go za siwe wasy, i uciekla na grędy kwiatów do swojego ogródka, pomiędzy motyle.

II.

POSPOLITE RUSZENIE.

Stary pan Wojciech Poraita miał dwie wioski, trzech synów i dwie córki, wszystko to dorodne i dorosłe. Sam w jednej mieszkał wiosce, a mniejszą wypuścił synom w dzierżawę spółkową i dorabiać się kazał chleba własnego. Między braćmi układ stanął, że który ożeni się pierwszy, temu bracia ustąpią dzierżawy, a on ich pospłaca żo-

ninym posagiem, wedle umowy. Tęgie byli chłopcy wszyscy trzej, rośli jak topole, barczyści jak niedźwiedzie, zdrowi jak rydze, edukowani prawie na domową potrzebę. Rządzili się jak mogli, chleb Pan Bóg jakoś dawał, ale trzem na wiosce jednę dorobić się trudno. Mieli chłopaki ambycją, radby każdy o własnych siłach zdobyć sobie niepodległą egzystencją na świecie, ale czasy nie potemu. Mieli trzy najteczanki, każdy parę zaprzężnych i wierzchowego konia; wyżywić trzech panów, trzech woźniców, trzech lokajczyków i dziewięć koni cugowych—nie tak to rzecz łatwa na jednę wioseczkę! A przecież każdy mieć musiał ekwipaż do wolnego ruchu na świecie, za szukaniem szczęścia, a szczęście na te czasy było w ożenku jedynie. Józef jeździł siwkami, kare konie miał Ignacy, a cisawemi uwijał się Wawrzyniec. Od trzech lat dorósł Wawrzyniec najmłodszy, od trzech lat ogląda się wkoło, tak samo szczęśliwy jak bracia starsi do ułowienia panny. Ledwie zjawi się gdzie panienka z jakim takim posagiem, jedzie trzech Poraitów szczęścia próbować; kawalerowie uczciwi, ludzie szanują i dobrze przyjmują, ale tak poczciwych chłopaków wyborem jednego krzywdzić nie można; więc panienki brały kogo innego. Trzech Poraitów nie konkurują kosztownie, ale są na każdym konkursie. Trzy cugi pomaściły ich swoim kolorem: nie mianowano ich chrzestnym imieniem, ale wedle furmanki wołano: przyjechał Poraj siwy,

Poraj czarny, lub Poraj cisawy. Już jakoś na języki ludzkie poszli, ale chłopaki wytrwałego gatunku, nie łatwo zrazić się dadzą: namawia przytém ojciec, matka i siostry, ile razy błysnie nadzieja. Spostrzegli nareszcie, że źle robią, konkurując wszyscy razem; zaobserwowała to najpierw matka, wyczekująca niecierpliwie, jak każda matka, synowój i wnucząt. W wielkim tedy sekrecie wyprowadziła na bok najstarszego Józefa i taką z nim miała konferencyą:

— Moje dziecko kochane, jesteś familiant, doro-dny i poczciwy chłopiec: czasby ci na seryo pomyśleć o ożenieniu, a dobrém! Masz spaść, to z dobrego konia. Siostry wędną w domu, gdy nie ma gotowizny na posagi. Ożeń się bogato, kupisz od ojca Wolę Piaskową, to dopomoże całej rodzinie.

— Kochana mamó, ja nie myślę o niczém, tylko o ożenieniu bogatém: jakoś nie idzie mi na świecie.

— Jedź do Maryni Nałęczówny: próbować szczęścia nie zawadzi. Masz tutaj trzysta złotych, które uskładałam z mojego gospodarstwa, spraw sobie frak, kamizelkę, buty lakierowane i rękawiczki... Niech ci Bóg błogosławi, moje najukochańsze dziecię.

Józio piescioch ucałował rączki matczyne i przyrzekł w sekrecie bywać u pani Nałęczowój, konkurując o Marynię.

Tego samego dnia i pod tym samym dachem, wyciągnął stary Poraj faworyta swojego Ignasia

i kubek w kubek taką samą miał z nim konferencyą sekretną, z tą różnicą, że na koszta konkurencyi tysiąc złotych zaforszował.

W ogrodzie odbywała się trzecia scena podobna, między siostrami a Wawrzyńcem. Wawrzyniec, co prawda jeździł z braćmi w konkury, bo go wyciągali, pomiędzy ludźmi włócząc gwałtem, ale chłopakowi ani się śniło jeszcze ożenienie. Polował namiętnie, tańcował do upadłego, swawolił jak dziecko, ale po gwarnéj uciezce, niechaj tylko dorwał się książki, zamykał się na dnie całe, karmiąc umysł głodny zawsze, drażniąc imaginacyą bujającą wiecznie. Wawrzyniec siedział na starym krzaku orzecha leśnego, otrząsał siostróm do zbierania orzechy, a gryząc od czasu do czasu złowiony jeden z piękniejszych exemplarzy wiewiórczego owocu, taką prowadził z siostrami konwersacyą:

— Mój Wawrzyńcu, bój się Boga, to niepodobna żebyście razem mieszkali: ludzie nazywają was stadem Porajów...

— Mają racyą, moja Teresiu; jest nas trzech, a lubo każdy jeździ swoją dryndą, jakoś zawsze znajdziemy się gdzie ciżba ludzi. Apetyt mamy dobry, zdrowe nogi, tańczujemy z całej duszy, a jemy każdy za czwórzech. Wystaw sobie, onegdaj spadliśmy niespodziewanie na pana Kacpra Godziembę; ja zająłem się gospodarstwem, zjedliśmy po baraniéj pieczeni na osobę i wypili po garncu piwa, wy-

grali po dwa ruble w preferansa, a ja za psie pieniądze odkupiłem od niego Statut Herburta...

— Nie trać pieniędzy na książki...

— Cóż będę z nimi robił lepszego?

— Lepiej się ożeń...

— A to po co?

— Mój Wawrzynku, bo i my przez was siedzimy w domu. Teresia ma lat dwadzieścia cztery, a ja dwadzieścia okrągło...

— Moja Andziu, nie wiem dlaczego mnie dodałaś, a sobie ujmujesz; ty kończysz dwudziesty pierwszy, a ja w marcu dopiero zaczęłam dwudziesty czwarty!...

— Gdybyście były księżmi, żadna z was nie dostałaby probostwa, bo obiedwie zamłode jeszcze.

— Ale my jesteśmy kobiety.

— Trzymaj Teresiu: słowo honoru daje, tak parka!

— Dziękuję ci mój braciszku: wołałabym przecież inną od ciebie przysługę...

— Jaką naprzykład?

— Oto żebyś się ożeń!...

— To ma być dla ciebie przysługa?

— Oczywiście.

— A to jakim sposobem?

— Jakbyś się ożeń bogato, kupiłbyś od ojca Wolę Piaskową, miałybyśmy posagi.

— Moje dziecko, pieniądze mogą się spalić albo je złodziej ukradnie, a tak macie posagi na hypo-tece Woli Piaskowej bezpieczniejsze.

— I mężów także mamy gdzieś na hipotece pewno...

— A co ci po mężu, Andziu?

— A tobie co po żonie?

— Ja jój nie szukam, mnie tak dobrze.

— Ale nam... nie dobrze, bo niedługo ludzie śmiać się z nas poczną i nazwią starami pannami!

— Bardzo słusznie: jak się kto urodził, to i zestarzeć musi...

— Ale nie w paniństwie! To okropność!

— Słuchaj Tereniu, Andziu! słowo honoru, tak znowu parka: trzymaj!.. Widzisz Tereniu, wytrwać pod swoim sztandarem aż do końca, to wielka chwala! Bądź panną aż do śmierci, a ja kawalerem; jak pomrzemy, ustroją nam trumny wieńcami z kwiatów!

— Już ja ci dziękuję za taką radę...

— On nie widzi, jakie ma szczęście do kobiet: szaleją za nim wszystkie panny w okolicy.

— Za kim?

— Za tobą, niegodziwcze!

— Dziś już znalazł dwie parki; jak żyję tak nie znalazłam parki w orzechach.

— Wawrzynku orzeń się, mam dla ciebie śliczną panienkę.

— Gdzie i jaką znowu?

— Marynię Nałęczównę: śliczna jak anioł, a ma gotówki dwakroć sto tysięcy!

— Proszę, to bogata!.. Trzymajże ją, kiedy ją masz; odbierz jój posag, niech ona potem kłopotczy się o siebie jak ty dzisiaj.

— Kiedy z tobą Wawrzyńku nie można pomóc na seryo!

— Jak cię kocham Tereniu, to śliczny orzech, jak żołądź. Jak cię kocham Tereniu, mówię na seryo. Za czasów rycerskich młody człowiek z dzielnym ramieniem i odważnym sercem nie potrzebował nic więcej tylko zbroi, kopii i konia; wyzywał do walki chociażby i barona osiadłego na potężnym zamku, a pokonanego odzierał z łupów, zabierając całe mienie. Wyzwij na taki pojedynek Marynię, jesteś silna, masz sznurówkę ze stalowymi brykami, weź nożyczki ojca od strzyżenia papieru...

— Wawrzyńku mój drogi, pomówmy na seryo: zacznij koniecznie z innego tonu...

— Ale, ale, dobrze, że się téż zgadało o muzyce. Moja Teresiu, nie graj tego nigdy, czego nie rozumiesz; po co ty suszysz głowę nad Szopenem, kiedy tak wybornie grasz walce Sztrausa i Gungla, a Szopena karykaturujesz: śmieją się z ciebie.

— A niech się śmieją, ja gram dla siebie... co komu do tego. Ja nie potrzebuję świata i jego okłasków, mnie bardzo dobrze w domu!

— Chwała Bogu, żeś tak w nim zagustowała. To mówiąc, Wawrzyn skoczył z wierzchołka gałęzi i ucałował Teresię, która była tłusta, okrągłutka jak klocek, a takich płuc silnych, że kiedy

kichnęła w katarze, sznurówka i stanik u sukni pękały na kawałki drobne. Twarz Teresi przypominała pełnią księżycową, usta przekonywały, że nie było trudno dopaść się pracując taką machiną; oczy wcale ładne, brew sutą, włosów gąszcz na głowie, ciemno-blond koloru.

— Dlaczegóż, chwała Bogu?

— Bo nie będziesz mię napędzała do Maryni dlatego, żeby mieć posag w gotowiznie.

— Ależ Wawrzyńku, to dla twojego szczęścia potrzebne ożenienie bogate...

— Na bogate ożenienie trzeba pieniędzy, parandnej konkurencyi, wystawy, a kochania mało. Ja zaś chcę konkurować ubogo, a kochać po magnacku, rzeką wylewając potok miłości!..

Słyszac to Andzia, uśmiechnęła się bardzo miłutko. Andzia była śliczna blondynka z sńiadą plecią, ale jakos wędnać zaczynała od częstego wzdychania i zamysłania nad swatami braci.

— Ja myślę, że Marynia pokochałaby cię niezawodnie, gdyby znała twoje serce.

— Ani myślę o tém...

— Dlaczego?

— Bo nie mam fraka nowego.

— Po cóż kupowałeś Statut Herburta?

— Ja ci pożyczę sto osmdziesiąt złotych, które mam od babki na koleczyki i broszkę. Oddasz mi na wiosnę...

— To mało, mnie trzeba lakierowanych trzewików, krawata, kamizelki i różnych okoliczności...

— Ja ci dodam sto złotych, które mam za prosiątka...

— I to mało wszystko!

— Pożycz resztę od pana Kacpra...

— Wybornie! Mam...

— Czy znowu parkę?

— Nie, mam projekt wyborny! Teresiu, idź za męża...

— Za kogóż pójde, kiedy nie mam posagu w gotowiźnie...

— Nie potrzebujesz posagu, dostaniesz bogatego męża, namówisz go do kupienia Woli Piaskowej, która mu bardzo przyległa, dostanie i Andzia posag, i my na osobne gospodarstwa!

— Któż to taki? — spytała Teresia poprawiając nioby.

— Pan Kacper Godziemba.

— Stary kawaler!.. brzydkil..

— Uprzedzasz się! Jak cię kocham, ma lat pięćdziesiąt, wcale nie brzydki jak na mężczyznę, a zakocha się niech ja tylko go poruszę.

— Nie chcę o nim myśleć nawet!

— A jabym poszła za niego...

— No, to ułóżcie się o to; jużto onby wolał tłuściejszą, w takim razie dopasiemy Andzię. Dali-bóg nie żartuje! Zgoda?..



Chwilka milczenia, a potem uściskanie się i śmiech we troje: projekta stanęły w sekrecie.

* * *

W Psiej Górze mieszka chłopiec bardzo ładny, elegancki, wesoly: Władysław mu imię, nazywa się Zagłoba. Z Psiej Górki w ciągu lat dwudziestu uciekło trzech dziedziców i pięciu dzierżawców; ale Psia Górka ma szczęście osobliwe: niechaj się tylko dostanie do niej kawaler, ożeni się z pewnością największą i wcale dobrze. Dowiedziawszy się o tém Władys, kupił Psią Górkę na wypłatę ratami, wyreperował dworek, ochludził podwórze i ogródek, o resztę się nie pyta, byleby miał gdzie żonę wprowadzić: łatwiej potem coś kupić za posag żony. Władysław pokażny chłopak, mina pańska, żydkowie szanują okazałą personę kawalera pełnego nadziei bogatego ożenku i kredytują. Dwóch komorników trybunalskich ma przyjaciółmi od serca, każdy ściąga do niego na nocleg, bo go kochają i ochraniają ze szkodą wierzyteli: umie chłopak za serce chwytac ludzi, choćby mieli komorników pancerze.

Zajechała bryka z tłumokiem, skrzynką i pudłem od stosowanego kapelusza. Władysław wybiega na przywitanie gościa.

— Chwała Bogu, że przyjechałeś kochany Sroczkosiu! Mam dla ciebie...

— Pieniążki, pieniążki, dobrze, bardzo dobrze paniczu kochany. Ten szelma Boruch podał na mnie skargę do Prezesa Trybunału, że nie wykonuję wyroku.

— Waryat jesteś z pieniędzmi. Każ jeno wyprzadz konie... Hej! Kuba! daj tam szrótówki z wyki dla koni pana Sroczkowskiego i koniczyny przynieś z owczarni! Maciek, bigosu i wódki! żwawo!

— Ale paniczu, pieniążki są?

— Czy ty widziałeś uczciwego szlachcica z pieniędzmi tego roku?

— Święty Onufry ratuj! Paniczu, nie mogę czekać, zrobię zajęcie chociaż dla formy!

— Głupis kochanie! — szepnął Władysław całując go w oba czerwone policzki. — Był tutaj onegdaj Buraczyński: już swoje zrobił — nic nie znajdziesz, zatradował wszystko na rzecz Ignasia.

— Przyłożę areszt na resztę funduszów.

— I to zrobił na rzecz Józia, za okowitę.

— Nie daruję psiej duszy... On cię tylko bałamuci paniczu kochany: musisz chociaż protokół spisać... on cię bałamuci!

— Właśnie że nie bałamuci: podał mi projekt cudowny, który ty wykonasz. Ale kochaneczku pomagaj duszą i ciałem!

— Cóż takiego? gadaj paniczu.

— Ożenię się!

— A to z kim przecież?

— Z panną krociową, ale trzeba trochę parady. Ty kochanku masz gotóweczkę, więc pożyczysz na powóz, liberyą, na biczowego konia i mnie do kieszeni.

— Święty Onufry ratuj! a ja żką miałbym gotówkę?

— A mnie co do tego? Ja chcę żebyś miał i rzecz skończona. Jak się ożenię, ty wiesz co warta Psia Górka, przedam ci ją, porachujemy się... będziesz puszczał w dzierżawę kawalerom na ożenieniu, da ci każdy czynsz spory, bo wioska pokażna, punkt oparcia na tymczasem wyborny!

— Święty Onufry!

— Cicho bądź dziadu, nie ma żadnej wymówki; ty wiesz, że ja mam głowę na karku, tylko mi nie włącz na hypotekę, bo mi potrzebna i reputacya, gawronie. Pożyczysz mi te dwadzieścia tysięcy, które wydusiłeś ze Stefana.

— Chybaby się trzeba bardzo mądrze opisać dla pewności.

— Pisz co chcesz, ale tutaj grunt, żeby się spieszyć, bo pannę zląpią!

— No, no, pieniądzeby były.

— A więc są! Do ciebie dusicielu!

— Bóg zapłać!

A gdy kochany komornik wypił, rzeczy ułożyły się łatwo: stanął opis, list zastawny różowy przejechał do kieszeni Władysława.

— Hej Kuba! miej na jutro świtaniem gotowe konie: odwieszysz mię do kolei żelaznej, jadę do Warszawy!

* * *
W Suchoczasach Antoś wycisnął dziesięć tysięcy od swojego proboszcza: także jedzie do Warszawy.

W Popiołowicach Bronisław sprzedał weinę przyszłoroczną. A pan Kacper Godziemba czterech w jednym tygodniu zapomógł pożyczką na rewersa proste. Wszystko to wybiera się w konkury do panny Maryi Nałęczówny.

Ale pani Nałęczowa ma także głowę na karku do planowania wyborną.

Wiedziała ona dobrze, że młodemu dziewczęciu narzucać męża uplanowanego byłoby trudno: młodziuchne serce zdobywa się często na energią i siłę woli wielką. Wszyscy wybierają się w konkury do Maryni, a niechaj i wybierają zdrowi: przyjmę każdego grzecznie, utrzymam w przyzwoitej odległości od panienki. Niechaj się dziewczę opatrzy w świecie, pozna złe i dobre jego strony: niemasz się co spieszyć z panienką kończącą dopiero rok siedemnasty. A kiedy nasyci się dziewczyna temi przysmakami uciechy, zobaczymy, czy nie zmądrzeje i nie pójdzie za moją radą — i czy nie będzie szczęśliwa?

A pani Nałęczowa była osobliwą kobietą w swoim rodzaju. Namyslała się w samotności, naradza-

ła sama z sobą, wykonywała projekta przez ludzi; ale nikt i nigdy domyślić się nie mógł co zamierzyła, chociaż cząstkowo wykonywał jój plany.

W sąsiedztwie niadalekiem od pani Nałęczowój, mieszkali państwo Drzymałowie, ludzie domatorzy, bardzo rzadko na świat wyglądający: mieli ułomną, niesłychanie brzydką córkę i syna podobno bardzo ładnego chłopca. Dla tych dwojga dzieci mieli ogromny majątek w dobrze zagospodarowanych wioskach i gotowiznie. Córki nigdzie nie pokazywali na świecie, nie dając jój na pośmiewisko ludzi; syn kończył nauki na berlińskim uniwersytecie, obiecując niesłychaną pociechę najukochańszym rodzicom. Był pracowity, obyczajny, oszczędny; pamięć miał niezłą, wytrwałość niemiecką, studyował prawo i filozofią. W rodzinie państwa Drzymałów urody nie bywało nigdy: mężczyźni byli flegmatycy, dziewczęta najczęściej kaleki, starzały się jakoś i umierały w paniństwie; ztąd fortuna nieszarpana kądziela, trzymała się imienia, a nawet ożenieniami przyrastała. Nie pamiętano téż i tego, aby z Drzymałów który ożenił się kiedy z własnego natchnienia, ale prawie zawsze swatano ich namową, a ułatwiano wszystkie trudności konkurowe; bo bez tego leniwy ród nie ryzykowałby się na ambarasowne korowody. Przy téj mężczyzn powolności i oddaleniu od świata, chleba było dostatkim, spokoju téż nie brakło nigdy, bo mężowie kochali z nałogu, zazdrość nie zajrzała do domu nigdy.

Pani Nałęczowa wzięła sobie tedy na oko ów dom szczęśliwy i postanowiła przywabić do swojej córki młodego Drzymałę, gdy z akademii powróci. Państwo Drzymałowie lubili gości, ale takich, którzyby im nie robili subiekcyi, wymagając koniecznej rewizyty. Bywa czasem wolno pocziwym ludziom ściągać gości do siebie, i prawie nigdy nie mieć czasu do odwiedzania ich nawzajem; ale ludziom bogatym nigdy na to nie pozwala prześwietne sąsiedztwo. Ludzie udają, że nie lubią pychy, a oni ją tylko przenicowali na drugą stronę. Gniewają się na wielkich panów o pychę, ale za to każdy szaraczek każe sobie oddawać wielkie honory, wymaga od magnata pokłonów, pochlebstw, szczytowania się szaraczkową przyjaźnią. Niegdyś, bywało to bardzo naturalnem, że pan wielki miał dom otwarty, obiady nie kończące się nigdy, gości w domu pełno i umiał jakoś trzymać na wodzy drobniejszy naród szlachecki, zdobywając sobie miłość braterską i poszanowanie magnificencyi. Wielki pan umiał być szczęśliwym pośród tego drobiazgu ludzkiego w ojczyźnie, który żywił swoim chlebem. Gdy jednak magnaci nie wiadomo z jakich powodów odczepili się od tła narodowego, poszli w nienawiść u szlachty pocziwój. Szaraczki rzadko spotykając wielko-pańskie persony, mszczą się za to na pół-pankach po parafiach, nie pozwalając im zadzierać nosa. Ktokolwiek elegancko dom ogarnie, podwórze wyklombuje, lokaj pogalONUje—

już parafialne rycerstwo ma go pilnie po oku i nie pozwoli najmniej ludziom imponować traktowaniem z góry. Najczęściej możny człowiek siedzi osamotniony w parafii, gdy go znękają wymagania ludzkie. W ludnej okolicy biada wszelkiemu dorobnemu człowiekowi, jeżeli mu się zachce w domu swoim lepszych wygod i elegancyi od powszedniego świata! Państwo Drzymałowie jako ród stary, a domatorstwem przygnuśniały, mimo prostoty obyczajów i skromnych wygod w domu, *ex re* samej fortuny okazalszej, byli trzymani w szachu przez obywatelstwo okoliczne. Ztąd dom ich mało uczęszczany, co też do planu pani Nałęczowej pomagało niesłychanie. Kiedy wznowiła dawno ustale relacye przez świeżą wizytę, ucieszyli się wszyscy troje niezmiernie: pan, pani i panienka, która jak wszystkie kaleki, wcale nie widziała w sobie wady i szczerze tęskniła do świata i ludzi. Pocziwa sąsiadka miała tyle słodczy pociągającej, że ją nawet rewizytowali po dwakroć w jednym miesiącu, bo niesłychanie wytęsknieni byli do towarzystwa, a u pani Nałęczowej zaczynało być bardzo wesoło.

III.

SZTURM GENERALNY.

Rok czasu minął okrągłuteńko. U pani Nałęczowej wielka feta na imieniny Maryni, a Marynia ob-

chodziła tę uroczystość na Narodzenie Matki Boskiej, a więc w najrozkoszniejszej u nas porze.

Przez rok bywania na świecie, Marynia uformowała się zupełnie, mówiąc językiem obywatelskim; to znaczy, że nabrała tuszy, zaokrąglającej wszystkie piękności ciałeczka swojego. Obejrzenie się po ludziach, dało jej znajomości, trochę serca i rozumu ludzkiego; Marynia zaczynała być mądra. Są ludzie, którzy ubolewają niesłychanie nad kobietą, gdy jej rozumek działać poczyna, miarkując popędy serdeczne. Jak się tam komu podoba, a ja państwu zaręczam, że jeżeli ma ozwać się kiedy ten rozumek, to lepiej robi zaczynając wcześniej, bo już wie człowiek, czego się ma trzymać, gdy zaślubia mądrą kobietę i wie o tém odrazu; aniżeli kiedy bierze jeszcze cichutkie, niewinniątkie stworzenie, które w ciągu małżeństwa dobywać zacznie potęg z główki przeslicznej i rozpościerać je pocznie. Może Marynia byłaby długo naiwną dziewczynką, gdyby nie konwersacya mamy, działająca powoli, ale mocniąca co chwila rozumek, a gasząca zbytek uczucia. Dlatego też Marynia uwierzyła, że na świecie lepiej być mądrą, aniżeli uczuciową kobietą, i zaczęła na tłok wielbicieli swoich spoglądać bardzo uważnie, stosować maksymy mamine, i wedle rodzących się z tych maksym poglądów na naturę konkurenta, traktować odpowiednio każdego.

Wiadoma historia, że jak panienka zobaczy dziecięciu kochających, musi szukać różnicy między

kochaniem a kochaniem. Jeżeli zaś wszystkie te sentymta wyglądają jednakowo, będzie wyszukiwała przyczyn kochania. Że zaś znała ładniejsze od siebie istoty w sąsiedztwie, które nie miały wielbicieli, dlatego że były uboższe; Marynia mogła tylko przypuszczać: — albo, że ludzie głupiuteńcy, biegnąc za modą; dlatego ją kochają, że przysłała do mody; albo: że ludzie są głodni grosza i kochają posag. Wszyscy ci adoratorowie oblegają natarczywie, dopominają się o spojrzenie, słodkie słówko, uśmiech pełen nadziei: sprzykrzyło się biednej Maryni żywić tylu głodnych pieścoty. Mimo zaś rachub rozumnych; czuła to dobrze, że serce jej własne bardzo głodne kochania, kołacze w pierśsiach, aż odciski porobiło na żebrach, a tu niemasz kogo kochać!...

Mama opowiada cuda o młodym Drzymale, nieznacznie, ale często gęsto coś o nim wtrąci w rozmowie, a z napomknień owych zawsze wypadnie jakie nowe światelko, rzucające urok na tę postać tajemniczą. Marynia rozciekawiona niesłychanie, aż drży na wspomnienie ósmego września, pani Drzymalina bowiem obiecała z pewnością, że winszować całym domem zjadą, a powiadała także o odebranych liście od syna, w którym obiecuje swój powrót w pierwszych dniach września.

Ależ zapomniałem państwu powiedzieć bardzo ważnej rzeczy. Coby w tém miała pani Nałęczowa, nie wiadomo, ale to pewna, że Jadwisia już skoń-

czyła lat szesnaście przed czterema miesiącami, miała warkocze spuszczone aż do ziemi, ciemne, dogoniła wzrostem Marynię, talią miała daleko piękniejszą od starszej siostry, a lubo wiązano jej na szyję jakąś pelerynę czy chustkę, która była z gęstego muslinu, poobszywana dzierzganami w ząbki falbankami, a szczelnie i gładko zapinała się z przodu, chowając końce podłużne aż pod pasek od fartuszka: można jednakże było widzieć całą giętkość talii i rysunek przepysznego biustu. Z pomiędzy falbanek tego odziewadełka, wybiegała alabastrowa szyjka cudnych proporcji, dając wiele niesłychanie do myślenia znawcy piękności, który chciałby ubrać Jadwisię w wyciętą sukienkę. Twarzyczka co prawda nie wytrzymywała krytyki znawców klasycznego rysunku. Jadwisia, osobno biorąc, oprócz oczu nie pięknego nie miała w twarzy: oczy, bo niesłychanie żywe, pełne ognia, biegające zwawo, oprawne bogato, turkusowego koloru, nad niemi brew gęsta fryzowana. Ale mimo tych niedokładności rysunkowych, Jadwisia miała takie liczko, że każdemu chciało się ją całować!... Mimo tego wszystkiego, Jadwisia dotąd była w krótkiej sukience, często jedwabnej co prawda, ale przerobionej z Maryni lub mamy, bo trochę za paradnej gatunkiem, a wyszlęj z naturalnej jedwabiu elastyczności. Ta sukienka pozwalała widzieć suto koronkowane majtki, a majtki znowu odkrywały nóżkę obutą w aksamitne szafirowego koloru buci-

ki, cudownie opinające ładną jej stopkę. Najniezawodniej w tym samym wieku Marynia była wprowadzoną do towarzystwa ludzkiego jako dorosła, nabrała już powagi wielkiej, z Jadwisią nie wdała się wcale. Dlaczegoż Jadwisia dotąd uchodzi za dziecko, musi stroić lalki, prawda, że dwułokciowe blisko i uprtekstowane dość logicznie potrzebą uczenia się krawiecczyzny; ależ to najwidoczniejsza, że ona nie dziecko, wygląda na świecie jakby dowcipnie ukostiumowana na bal maskowy.

Pani Nałęczowa upragniona kochania w swoich nieszczęśliwych związkach małżeńskich, ukochała Marynię pierworodną całym sercem. Gdy więc przysłała na świat Jadwisia, niesłychanie mało zostało dla niej na pieszczoty. Później trudno też jakoś było o równowagę w sercu matczynym, została tedy sobie mniej kochaną ładna Jadwisia. Ztąd wypadło, że kochana mama mało na nią zwracała uwagi, nie spostrzegła wcale, że Jadwisia dorasta, a gdy spostrzegła, zatrzymała ją jeszcze w krótkich sukienkach jako dziecko, zanimby wydała za mąż Marynię. Jadwisia zostawiona samej sobie, rozwijała się oryginalnie wedle własnej fantazyi. Powiedziała coś zadziecinnie, albo zaśmiało, to śmiano się z naiwności dziecka. Patrzała na świat jako dziecko i podglądała jego tajemnice; nikt jej tego nie bronił, a gdy nareszcie Jadwisia wzdychać poczęła do długiej sukienki, o! co tego to jej nie darowano. Bo kiedy raz mama z Marynią pojechały

na wizytę w sąsiedztwo, Jadwisi przyszedł koncept sprobować, jakby téż ona wyglądała ubrana za pannę dorosłą. Zamknąwszy się tedy w pokoiku Maryni, otwarła do toalety, do szafy, podobywała wszystko co potrzebne i zaczęła się ubierać pospiesznie, ale tak zupełnie jak Marynia. Rozpletła sobie warkocze, uczesała w nioby wywrócone do góry, założyła kwiatki na głowę, przywdziała różową gazową sukienkę z jedwabną podkładką, wygorsowała się, wzięła do ręki batystową chusteczkę haftowaną i poszła do salonu zobaczyć się w wielkich zwierciadłach, jak téż wygląda? Ucieszyła się niezmiernie zobaczywszy, że jest bardzo ładną, a kto wie czy nie ładniejszą od Maryni. Już to na włosy i oczy nigdyby się nie mieniała; potem zdawało jój się, że i kibić ma jakoś giętszą, postawę okazalszą. Po promenadzie poważnej, zaczęła tańczyć kontredansa naprzeciwko lustra. Wtedy przypomniało jój się że do balowego stroju potrzebnym jest bukiet koniecznie; jak téż to ona będzie wyglądała z bukietem? A więc pobiegła do ogrodu rwać kwiatki na bukiet, w téj robocie zamyśliła się: rozmaite przychodziły jój koncepta. Trzeba było w jedną stronę iść po gwoździki, w inną po bratki i stokrocie, głębiej kwitły jeszcze róże białe; zaawanturowała się tedy dosyć długo w ogrodzie. Nagle dał się słyszeć trzask bicia i tętent powozu. Spłoszona Jadwisia poczęła biegnąć ku dworowi, aby wemknąć niewidzialnie do pokoiku i pozrzu-

cać Maryni sukienki. Już prawie dobiegała mety, gdy z za narożnika domu ukazało się towarzystwo....

Pani Nałęczowa nie zastała sąsiadów w domu, a gdy wracała, spotkała jadących do niej gości. Wszyscy tedy powrócili razem, a korzystając z prześlicznej pogody przy zachodzie słońca, postanowili zaraz z przed ganku pójść do ogrodu, nie wchodząc do dworu. Takim sposobem Jadwisia została schwytaną na gorącym uczynku w balowej sukni, z bukietem w rękę, który tak jój trząsł się ze strachu, że aż bratki i stokrotki wypadały z niego. Rzecz naturalna, że mama i Marynia połajały Jadwisię za tę maskaradę, ale pani Sędzina głośnej sławy trajkotka, jój córeczka Ewcia, dwóch Poraitów i Władys z Psiej Górki, przekonali się naocznie, że Jadwisia bardzo ładna panienska, dorosła najzupełniej i prześlicznie wygląda w stroju balowym. W półgodziny, Jadwisia wróciła do roli dziecka, wystąpiła w majtkach haftowanych i krótkiej kamlotowej sukience brązowego koloru, która jój teraz wydawała się najbrzydszą i najnieprzyzwoitszą na świecie. Za pojawieniem się Jadwisi dziecka, konwersacya, naturalnie, że obróciła się do niej: żartowano z dziecięcia, rumieniono biedaczkę, aż znękaną chciała matka zastraszyć żartem i powiedziała:

— Moja Jadwisiu, kiedy ci tak pilno dorosnąć, to ja cię wydam za mąż....

Na te słowa, wszyscy obrócili się do dziewczyny, chcąc się bawić pewnie najżywszym jój rumieńcem. Ale nadspodziewanie wszystkich, Jadwisia podniosła główkę wesoło, odrzuciła w tył głowy warkocze i odpowiedziała śmiało:

— Moja droga mammo, prędzej czy później zawsze mię to czeka.

— Może wolałabyś dzisiaj!...

— Gdyby mama pozwoliła!

— Za kogo? — spytała się bardzo trwożliwie zmieszana matka.

— Jużbym ja sobie pewnie wybrała prędzej od Maryni chłopca.

— Któżby cię chciał moje dziecko, kiedyś jeszcze nie ładna i nie dorosła.

— Urosnąć, już pewno nie urosnę więcej; a chociaż jestem nie ładna w tej sukience, w różowej spodobałabym się może komu....

— Brawo! — krzyknie pani Sędzina, — nie wój sasiadko z dziewczyną, bo się dowiesz, że jak suknia do talii, tak i chłopiec nadałby się do serca!

Mama cokolwiek zachmurzyła czoło, mimo sztucznego uśmiechu na ustach; Jadwisia widząc to, troszeczkę zbladła i wysunąwszy się z pokoju, zapłakała ze strachu, a serduszko zaczęło jój bić niesłychanie szybko.

W tym płaczu zesła ją Marynia, a zamiast pocieszyć, gniewała się o porozrzucanie grzebieni i słoików na toalecie, o pogniecenie sukienek w sza-

fie. Do herbaty usiadłszy, miała oczki spuszczone, co zauważywszy towarzystwo, nie zaczęło jęj żartowaniem przez delikatność. Po tym wypadku pani Nałęczowa wzięła na rozmyślanie głębokie: czy w imieniny Maryni, Jadwisia ma wystąpić jak dziecko, czy jak panienka dorosła? Po wielu stawianych sobie samėj kwestyach za i przeciw, zdecydowała zostawić Jadwisię w majteczkach.

O trzeciėj godzinie z południa poczęli zjeżdżać się goście z wielką paradą ekwipaży i strojów. Zabawa w sąsiedztwie zawsze bywa wystawą zamożności obywatelskiėj, ludzie bawią się w wielkich panów; każdy przybięra dystyngowańsze ruchy, wyrażenia, zapomina o tarapatach gospodarskich, a sąsiedzi, którzy wiedzą nieledwie co tam wczoraj gotowano w kuchni na obiad w pogranicznych wioskach, okłamują się najgrzeczniėj wysławianiem swoich dostatków,—czemu nikt nie poważy się zaprzeczać.

Niegdyś zaproszona młodzieź miała zwyczaj stawić się najpierwėj, oczekując pojawienia się starszyzny obywatelskiėj, którą honorowano tém oczekiwaniem. Dzisiaj zmieniły się formy towarzyskie; grzeczność nie bywa już przymiotem młodzieży, która straciwszy bardzo wiele na wartości rzeczywistėj, dodawać sobie zwykła waloru puszeniem się nadętém. Im większy Bartek, im grubszych obyczajów, ciemniejszego umysłu, zimniejszego serca, tém więcėj szanować się każe. Zajeżdża rozpar-

ty leniwie w powozie lub najtyczance, schodzi z tego przenośnego łóżka, oglądając się, azali gospodarz wyszedł przed ganek na powitanie dystyngowanego ciężaru świętej ziemi. A gdy wnijdzie do salonu, ogląda się, kogoby zaszczycić kwaśną miną, ziewnięciem mu w same oczy i leniwem podaniem mu ręki. Im ktoś starszy i dystyngowańszy znaczeniem w towarzystwie, wita go z większą konfidencyą i lekceważeniem; kobietę waży się powitać poufałem wstrząśnieniem ręki, paniom ledwie kiwnie głową. Grzeczność chowa się jako towar kosztowny, który zazwyczaj ofiarują niezgrabnie najposażniejszej dziewczycy, której fortuna może znakomicie poprawić towarzyskie położenie próżniaka.

Pani Nałęczowa była jedną z tych kobiet, które umiały dać sobie ton przywoity szlachciance; nie wątpiła nigdy o miłosierdziu Bożem, ani lękała się gniewów i prześladowania młodzieży za to, że umiała się cenić i wymagać należnych jej honorów od młodszego świata. Gdy ją coś urażało, lub chociażby nie podobało się tylko w towarzystwie, odzywała się ze zdaniem swoim głośno, łajac śmiało excessa młodych lampartów, a broń Boże ubliżenia w czem jej domowi; wymówiła w oczy, dając poznać wyraźnie, że woli pozbawić się przyjemności widywania liczniejszego towarzystwa w swoim domu, aniżeli ten dom zamieniać w zbiorowisko niesforniej gawiedzi bez wychowania. Ta śmiałość obywatelki nie podobała się w początkach młodemu

sąsiedztwu: kilku lampartów w roli lwów eleganckich chciało obrażać się zbytkiem wymagań i deklamować poczęło przeciw szlachciance, chorującej na wielkie państwo. Sąsiedztwo usłużne nie zaniedba zdać raportu komu o tém wiedzieć należy, gdy na niego coś powiedzą. Dowiedziała się i pani Nałęczowa, kto mianowicie rozgaduje na nią rzeczy niestworzone. Wcale nie zlekła się tej agitacji pokątniej. Wiadome rzeczy, że lwy parafialne jadem obmowy straszą zazwyczaj ludzi uczciwych i zmuszają nieledwie do poddania się i przyjmowania ich w swoich domach. Jeżeli źle mówią o kim, nie idzie za tém, aby do niego nie pojechali, żeby jego pieczeń mniej smakowała od innych. Trwożliwy o opinią publiczną człowiek, nieraz do poniżenia stara się przebłagać zagniewanych przeciwko sobie mal-kontentów. Czasem udaje się takim trędom towarzyskim otoczyć dom uczciwych i obyczajnych ludzi niechęcią powszechną; człowiek stały w swoich zasadach często prowadzić musi życie odosobnione, samotne: nigdy atoli enota obywatelska długo pomiatana nie będzie. W ważnych zdarzeniach społeczeństwo ludzkie odsuwa trędy towarzyskie, a powołuje na właściwe stanowisko prawdziwe wartości. Kobięcie uda się częściej stawić czoło napaści nieobyczajnego próżniactwa; pani Nałęczowa stawiła je zuchwale; — bo gdy któryś z oszczerców zajechał do niej z wizytą etykietalną, służba dworska spotykała go na ganku z oświadczeniem, że pani

nie przyjmuje. Życzliwe sąsiedztwo ostrzegало ją, że z tego powodu straszna burza zbiera się nad jęą domem; ale ona podziękowawszy za życzliwą przestroęę, oświadczała głośno, że o los swoich córek wcale się nie lęka, a woli przyjmować w domu małe kółko ludzi uczciwych i obyczajnych, aniżeli natłok pieczeniарstwa płacącego za gościnność czerpidłem obmowy. Pierwsze lata jakoś to dziwnie wyglądało owo uzbrojenie się kobiety przeciwko prawu zwyczajowemu; powoli jednak postanowienie uczciwe znalazło uznanie i naśladowców. Kiedy kilka domów odziało się powagą, młodzież jakoś wyładniała, wygrzeczniała, w sąsiedztwie pani Nałęczowej zrobił się elegancki świątek. Wystraszony cynizm swawoli wyniósł się w dalsze strony.

— Na imieniny Maryni, przed czwartą godziną prośzone na obiad towarzystwo stawiło się punktualnie, a zapóźniony kuzynek pani Nałęczowej, który poważyl się wejść do sali jadalnej w końcu obiadu, usłyszał bardzo seryo powiedziane słowa prawdy, że nie szanuje ani gospodyni, ani towarzystwa zebranego w jęą domu, poważając się lekceważyć formy towarzyskie. Gdy stawił powody opóźnienia, mimo, że na ten raz jeden otrzymał przebaczenie, dowiedział się przecież staręą a zapomnianęą często reguły: że kto nie może na czas umówiony przyjechać, to nie przyjeżdża wcale. Wtedy powody, które przeszkodziły wyjechaniu z domu, mogą być uznane za logiczne; przybycie

zaś spóźnione nie może być inaczej tłumaczoném, tylko jako niedbalstwo, dowodzące braku grzesności. Pomógł reprimandzie pani Nałęczowej stary pułkownik obecny u stołu, który wyraźnie żalił się na złe wychowanie młodzieży i upadek słynnej przed niedawnym czasem elegancyi pomiędzy szlachtą polską. Obecna téj scenie młodzież usłyszała małą nauczkę, która w las nie poszła, mianowicie gdy zakończył pułkownik żale swoje w ten sposób: „Nie mam ja szczęścia do młodych ludzi w tych czasach. Pamiętam za moich lat młodych, gdy mię wprowadzono do towarzystwa po raz pierwszy, wiele korzystało się z rozmów i obyczajów starszyzny, czczonej przez nas z religijném uczuciem. Zapomnienie się albo niewiadomość młodego każdy ze starszych przestrzegał seryo, monitując jak ojciec, za co trzeba było pana senatora za kolana uścisnąć, a młodszych znaczeniem ucałować w ramię.

Dzisiaj młodzik wpuszczonym bywa do towarzystwa luźnie, pozwala sobie konfidencyi z wszystkimi: starszyzna dopuszcza z sobą téj konfidencyi gorszącej, a młode pokolenie uznaje się za doskonałość skończoną. Nie mogłem ja znieść nigdy podobnej swawoli, upadek obyczajów uważając za ruinę społeczeństwa; dlatego prowadzę życie osamotnione, stroni odemnie świat młody, który ja uważam za niesfornych rekrutów. Poniżając się sam schyleniem głowy przed tém powszechném zgorszeniem, obrażałbym Boga, obrażałbym pamięć czasu i prac

pokolenia, które reprezentuję. Dlatego wolę umierać samotnie, ze skargą na ten świat młody, że mię gorącym swoim nie pożywi, aniżeli miałbym schodzić ze świata z przekleństwem Bożem, nie szanując własnej siwizny.”

Starszyzna pochwyciła z zapalem wątek sprawy napoczętej przez pułkownika. Ta starszyzna brała wychowanie w sforniejszym czasie, pamiętała rozwijanie się bohaterstwa, a ze starych powieści i pieśni narodowych brane życie miało jeszcze w sercach ołtarze. Reprezentant pracowitej epoki nagrodzonym został miłością i poszanowaniem. Po toaście za zdrowie dam, który wszędy i zawsze pierwszym bywał w Polsce, przed solenizantką dzieckiem, wniesiono zdrowie pułkownika, które każdy z kolei wychylił stojący, dodając słów kilka na pociechę sponiewieranej starości. Młodzież okazała się na ten raz pełną uszanowania; znalazł się przecież i reprezentant ducha nowego czasu, występujący śmiało z pojęciami swojemi, o którym czasby powiedzieć.

W miarę zbierania się gości, rozweselało się czoło gospodyni szczerzej i gościnniej. Za każdym atoli pojawieniem się nowego ekwipażu przed gankiem, widać było jakąś niecierpliwość na jej czole, jakieś niezadowolone oczekiwanie. Nareszcie ukazała się karetka państwa Drzymałów, na których przyjęcie pani Nałęczowa z solenizującą córką wyszła aż na ganek, a ukryć zadowolenia swojego nie była w sta-

nie. Marynia także zerwała się na skinienie matki pospiesznie, uradowana, że stanie się zadość jej ciekawości. Jakoż obiedwie zadowolily się niebawem, gdy z karety wysunął się najpierw młodzieniec flegmatyczny, wymuskany, za nim garbata siostrzyczka panna Eufemia i oboje państwo Drzymałowie. Na ganku tedy odbyła się ceremonia witania i prezentacyi synka, owęj wielkiej nadziei domu, kształconej na niemieckiej akademii.

Jakimby on był, zawszeby spodobał się pani Nałęczowej, bo zdawna i umysł i serce jej przygotowały się do serdecznego przyjęcia wymarzonego ideału zięcia. Ale Marynia była przedewszystkiem młodą dziewczyną: na młodą dziewczynę powieje najpierw wpływ magnetyczny rodzący sympatyą lub antypatyą dla spotkanego młodzieńca, bez zdawania sobie sprawy z tego działania natury tajemniczego; potem ciekawość kobieca odzywa się ze swojemi prawami i zaczyna się pogląd krytyczny na poznawany przedmiot. Marynia tedy nie uległa żadnemu wzruszeniu przy pierwszém spotkaniu Edwarda Drzymały, a zobaczywszy urodę średnią, napuszystą i sztywną figurę kawalera ubranego krojem nieznanym jeszcze w parafii, o mało nie parsknęła ze śmiechu. Matka, lubo zajęta robionemi honorami państwu Drzymałom, rzuciła jednak okiem od czasu do czasu na kochaną córeczkę, ażeby zobaczyć jakie zrobił na nię wrażenie oczekiwany egzemplarz doskonałości. Zmieszala się nie-

zmiernie, zobaczywszy pewien rodzaj zawodu i niezadowolenia. Zaledwie tedy usadziła panią Drzymalinę na honorowej kanapie i wprowadziła ją w konwersacyą z sąsiadkami, wymknęła się z salonu do swojego gabinetu, wywabiwszy ze sobą Marynię i taką miała z nią rozmowę:

— Zaklinam cię, kochana Maryniu, bądź jak najgrzeczniejszą dla pana Edwarda. Bóg wie co z tego być może, ale chciałam ci przypomnieć, że Edward jest pod każdym względem najlepszą partyą w okolicy, a może i kraj cały niewiele okazałby równych mu współzawodników... Bądźże dla niego najgrzeczniejszą...

To mówiąc dodała ucałowania najczulsze.

— Czy ja kiedy nie byłam grzeczną dla kogoś? — zapytała zmieszana Marynia.

— Nie o to tutaj chodzi; owszem jesteś bardzo grzeczną panienką, ale ja chciałabym osobliwszych względów dla Edwarda.

— Moja mamó, powiedz mi mama dlaczego mam być dla niego grzeczniejszą jeszcze niż dla innych?

— Otóż chciałam ci powiedzieć otwarcie, kiedyś mię dotąd nie rozumiała: ja byłabym najszczęśliwszą w świecie, gdyby pan Edward ciebie pokochał i zaślubił...

— Ależ moja mamó, to sprawa mojego serca: ja przyznam się mamie, że na pierwszy rzut oka wcale mi się nie podobał pan Edward.

— Otóż ja chciałabym w mojej kochanej córeczce widzieć zawsze równowagę serca i rozumu: niech sobie pomagają wzajemnie, zwłaszcza gdy o los całego życia chodzi.

— Moja droga mamó, z tego wszystkiego zdaje mi się, jak gdyby mama coś ułożyła w sekrecie przedemną...

To mówiąc Marynia miała bolesną minkę, jak gdyby robiła matce wyrzuty za narzucanie sercu obowiązków, bez radzenia się tego serca o skłonności.

— Ja nie nie ułożyłam, ale myślałam tylko. Gdy kłopotam się o twoją przyszłość moje dziecko, bądź pewna, że dobrze zastanawiam się nad tém co robię. O to cię tylko proszę, bądź grzeczną i przystępną dla pana Edwarda. Liczę bardzo na twój rozsądek, a mam nadzieję, że po bliższém poznaniu znajdziesz wyższą wartość nad to wszystko, co z powierzchnowości uderza.

Marynia przyrzekła mamie, że pozwoli na bliższe poznanie, westchnęła jednakże wracając do salonu.

Pan Edward prawie nikogo nie znał, bo od dzieciństwa wychowywany był zdaleka od rodzinnych kątów, a w dzieciństwie mało też ludzi spotykał w rodzicielskim domu. Wszedłszy do salonu, obejrzał się dokoła z wielkiém zaufaniem w siebie, zimno obejrzał wszystkich, nie poczuwając się do obowiązku przedstawienia komuś, a raczej dziwiąc się, że nikt z czolobitnością do niego nie spieszy.

Ojciec jego był wychowawcą innéj epoki; oddalenie się od świata i domatorstwo zasłoniły przed jego oczami nowe obyczaje świata. Wiedział on jak sam wchodził na świat, tą samą drogą chciał wprowadzać i syna. Przedstawił go tedy swoim rówieśnikom, których p. Edward potraktował tak seryo i poważnie, jak gdyby ta dereszowata czereda jemu przedstawioną była, a o której nasłuchiwał się od Niemców, że jest ciemną i nieoświeconą. Na młodych ludzi ledwie spojrział, i odwrócił się, nie zobaczywszy piętna wysokiej *intelligencyi* na czołach, bo nie miał żadnego poszanowania dla ludzi, którzy nie robili głębokich studyów. Młodzież ze swojej strony rozśmiała się serdecznie z téj sztywnéj figury, zdającej się wyczekiwać na honory i admiracyą. Panie matki spojrzały na panicza instynktem rachunkowym, sympatyzując na podobieństwo pani Nałęczowéj. Panienki obejrzały go od stóp do głowy: starszym, wyczekującym dość długo na obluźnienie, spodobała się ta stoiczna powaga i sztywność niemiecka; młode poczęły chichotać się i szeptać do siebie Bóg wie o czém. I publiczność panu Edwardowi, i pan Edward publiczności niebardzo się spodobali. Mimo ślicznych panienek i wyraźnego zebrania się towarzystwa na zabawę, panu akademikowi nie przyszło na myśl zastosowanie się do towarzystwa i jego pragnień: uwiązał zaraz przy oknie w gromadzie starszych sensatów, nie oglądając się na to co mówią i wnioskują, dowodzić zaraz

począł i stanowcze rzucać zdania, z zarozumiałością niemieckiego studenta z kategorii traktujących na wpeł seryo życie i naukę, na podobieństwo Poznańczyków. Gdy do salonu powróciła Marynia z konferencyi familijnej z mamą dobrodziejką, mimo przepychu swojej urody i całej ciżby garnącej się do niej, nie zwróciła na siebie jego uwagi. W poł godziny zaledwie przypomniał sobie, że jest solenizantką i wyprawił się do niej z szapoklakiem pod pachą winszować. Wtedy raczył zrobić troszeczkę słodsze spojrzeenie, a dodawszy osobie swojej postawą wielkie znaczenie, protekcyonalnie przemówił:

— Podobno pani imieniny dzisiaj... Mam honor przy pierwszém poznaniu zacząć od powinszowania.—To powiedziawszy, lekko skinął głową, przeglądając solenizantkę od stóp do głowy; a ona zmieszana tém dziwném powinszowaniem, nie wiedziała co z sobą zrobić: czy powstać i uklonąć się, czy zapłacić uśmiechem. Ale w téj chwili wybawił ją z kłopotu energiczny Władysław Zagłoba, ten sam, który przed rokiem wydusił z komornika dwadzieścia tysięcy na konkurencyą do Maryni. Kiedy pan Edward kiwnął głową, ucinając frazes owóm: „mam honor zacząć znajomość od powinszowania...”

— Czego?— zapytał Władys tak nagle i niespodziewanie, że panienki całym rządkiem siedzące w téj okolicy salonu pokazały ząbki, Marynia rozśmiała się także, a pan Edward opuścił ręce, wypadł mu szapoklak z pod pachy, tak stracił konty-

nans. Cała owa sztuczna powaga opuściła akademika za tém energicznym dźwięknięciem jednego słowa: „czego?” — podniósł kapelusz z ziemi, obejrzał się w stronę z kąd wybiegło zapytanie, poprawił okulary, zbladł troszkę z gniewu i pomieszania.

— A jużto najlepiej życzyć będę pannie Maryi tego wszystkiego, co ona sama życzy sobie: nie mam bowiem honoru znać pragnień jęj serca i duszy.

Ta napaść niespodziewana i zmieszanie się kawalera obudziły przecięż współczucie w sercu dziewczęcia niebawem: żal jęj się zrobiło napadniętego może i słusznie oryginała. Podniosła się tedy, ukłoniła grzecznie i wiążąc poczęła konwersacyą dość zręcznie, zaczynając pytaniem: — dawno powrócił do kraju? — a potęm: jak ten kraj znajduje po długiem niewidzeniu?

Te kilka frazesów zreperowało humor zepsuty akademika: wpadł znowu na swój ton napuszony, skrzywił się, westchnął i z uśmiechem ironicznym odpowiedział szeroko na ostatnie pytanie:

— O! tak pani... kraj nasz dosyć przyjemny, daleko mu przecięż gonić kulturę zachodu Europy (wymówił Ajropy): nie posiada ani sztuk, ani rzemiosł, ani nauki w odpowiednim stopniu potrzebie cywilizacyi. Nie widzę nawet dostatecznych wygod życia dla wyższęj umysłowęj wartości...

— Wiesz co Antosiu? — odezwał się głośno Władysław, tuż obok stojący — mogę ci darować dwa

ogary doskonale, bo slyszalem, ze starasz sie o psy dobre.

— Nieslychanie wdzieczny ci jestem, i az dziwie sie twojej hojnosci...

— Jezeli chcesz wiedziec jak jestem szczery, zrobie ci jeszcze jeden prezent, i to rowny pierwszemu wartoscia, a wiem, ze przyjmiesz.

— Ciekawy jestem co takiego?

— Nie jest to *co*, bo to istota zyjaca, intelektu-alna, a wiec zaimek *co*, podlug regul grammaty- cznych, do tego prezentu zastosowac sie nie da.

— A wiec mam spytac *kogo* mi darujesz?

— Tak, *kogo* bedzie dobrze uzyte. Oto jak oglo- silam, ze chce zkolonizowac moj folwarczek pod horem na wydmuchu piaszczystym i sapie, obleglo mnie stado Niemcow, dobijajac sie o te zaniedbana kulture polska, dla ktorej porzucili wygodne bety i melszpajzy ojczyste: otoz dla tego, ze ich wszy- stkich pomiescic nie moge, daruje ci, jezeli chcesz, pietnastu z zonami i dziecmi—na zarod cywilizacyi.

Zrobil sie znowu smiech i gwar w gromadzie mlo- dziezy otaczajacej Marynie, a deklamujacy o kultu- rze Niemcow akademik, powtornie zmieszal sie, przerwal sobie potoczysty monolog, poprawil oku- lary, ucial konwersacya i pompatycznie skierowal kroki w inna okolice salonu. Zaszedl do kanapy, zajal obok matki prazne miejsce, zalozyl noge na noge wygodnie, siegajac piete prawie blatu stolika, a mieszajac sie pozornie do kanapowej konwersacyi

matron, mierzył okiem zdaleka figurę Władysława, który najoczewiściej umyślnie dwa razy poważył się zmieszać go i odziać śmiesznością. Akademik wzięwszy na rozum, chciał zdybać w kącie interlokutora, i zapytać go się urzędowo, jakie miał zamiary w tém odzywaniu się w trakcie jego dyskursu; ale panie matki dostawszy tak wielki klejnot pomiędzy siebie, zaczęły formalne obleżenie, komplementując kawalera, aż ten znowu odzyskał humor i zaufanie w swoją wysoką intelligencyą, która czarowała matrony posiadające córki na wydaniu.

U pani Nałęczowój moda panowała w domu od dawna, zmieniając niejednen zwyczaj dawny. Niedgdyś w domu staropolskim usadzano gości do stołu wedle starszeństwa urzędu i wieku, jakby w izbie sejmowój: starsze miejsca obsiadały dygnitarzki, za niemi dygnitarze i szlachta drobniejsza, upiętrzeniem aż do szarego końca. Po emancypacyi wszelkich wartości człowieczych, powoluteńku zapanowała ocena ludzi pieniężna. Jeżeli są jeszcze jakie dygnitarstwa w towarzystwie, to chyba ustopniowanie majątkowe daje pozycyą, bez względu na charakter i zasługę, bez względu nawet na wiek człowieka. U pani Nałęczowój w czasie urzędowych obiadów ustalil się zwyczaj, że każdy mężczyzna prowadzący do stołu kobietę siadał przy niej: dostało się nieraz złe sąsiedztwo, z zachowaniem atoli majątkowego stopniowania wartości. Pan Edward,

solenizantkę z jej matką, a gdy poczęto zabierać się w pary, przetaił okulary, przypatrzył się panience i podał jej rękę, którą przyjęła. Gdy przechodzili mimo gromadki ściśnionój, Edward usłyszał znowu, lubo cichszy, ale ten sam głos, który już z natury swojego brzmienia burzył cały szyk planowego systematycznie życia:

— Założyłbym się, że po obiedzie nie poznać panny Maryi, tak się odzieje kulturą *Ajropy* zachodniej.

To go już zniecierpliwiło: spojrział bystro w tę stronę, zatrzymał się chwilę w pochodzie, zmierzyl zacząpiającego surowym wzrokiem i głośno, wyraźnie odezwał się do towarzyszki:

— Pytałaś mię pani o wrażenie, jakie na mnie kraj zrobił po długiém niewidzeniu. Kraj miły, gdyby tylko ludzie mieli więcej skłonności do dobrych obyczajów i nie narzucali jedni drugim swojej znajomości, nie proszeni o to.... Ja odwykłem od czczego życia z liczną gromadą znajomości: nie narzucam się nikomu, chcę zasłużyć się ludziom częmsiś, nim zapukam do ich przyjaźni; ale widzę, że trudno mi będzie z takimi usposobieniami przyjść do ładu w mojej ojczyźnie, w której wolno żyć tylko obozowo, a nie godzi się rozwijać na trwałych podstawach, z poszanowaniem wolnej woli obywatela.

— Czy pana co zraziło w spotkaniu ziomków?
— zapytała drżąca Marynia.

— Zraża mię nieustannie. Dlatego niemało będę miał kłopotu z uregulowaniem moich stosunków tak, iżby umysł i serce zadowolić, a nie narazić się swawoli, depcącój formy przyzwoitości.

— Może pan źle uprzedziłeś się o towarzystwie...

— Towarzystwo samo za siebie mówi dosyć głośno, aby je każdy ocenił, jakim jest rzeczywiście: przy jasnym dniu błdzić niepodobna.

Te uwagi Edwarda, wypowiedziane głośno i dobitnie, z odwróceniem się w stronę Władysława, zmieszały znowu śmiałego napastnika. Zaczął on wiązać żywo konwersacją na prawo i lewo, aby zatrzeć ślady swego pomieszania. Mimo to odpowiedział raz poraz spojrzeniem zawziętej nienawiści akademikowi, który znowu, w miarę mieszania się przeciwnika, nabierał odwagi i rezolucności. Gdy w końcu obiadu zdarzyło się łajanie spóźnionego kuzynka, otwarło się pole do zabrania głosu dla Edwarda, przy spełnianiu kielicha za zdrowie pułkownika. Gdy powstał, odezwał się z godnością:

— Panie pułkowniku, pierwszy raz miałem szczęście wejść w koło obywateli rodzinnego powiatu. Mam sobie za dobrą wróżbę, gdy w czasie pierwszej uczyty obywatelskiej spełniam toast pierwszy na cześć zasługi publicznej, która tak pięknie nacechowała twoje szlachetne oblicze. Twoje blizny bolały ciało, gdy stawiałeś życie na ofiarę publiczną. Jest i dzisiaj poświęcenie wielkie, gdy w pracach około dźwignięcia wartości człowieka spoty-

kać przychodzi kolce, wpijające się w dusze i serce. Jednej i téj saméj trzeba odwagi stawać piersią przeciw bagnetom, czy nastawiać duszę i serce na nieustanne potrącanie wadom społeczeństwa. Przyjmij pułkowniku toast, który spełnia aplikant, dorabiający się imienia obywatela: na cześć zasługi żołnierskiej!

Ta przemowa zgrabna pochwycała za serca starszyzną, spodobała się młodemu, spodobała się nawet Maryni, bo uśmiech zadowolenia wystąpił na jej liczo i bardzo znacząco spojrzała na Władysława, jakby odpowiadając na jakieś uwagi, które jej robił w nieobecności Edwarda. Władysław pobladł, zatkanął usta ogromnym kęsem sarniego combra; więc usta milczały, ale oczy wyrażały dość jasno cały niepokój wewnętrzny.

Niedługo rozlano szampana, pułkownik podniósł się, wznosząc toast za zdrowie młodej i pięknej solenizantki. Wtedy akademik już miał krew rozgrzaną, ustąpiło zeń zimno niemieckie, jaśniej zrobiło się w oczach, a piękność solenizantki poczęła go zachwycać. Powstawszy z całą gromadą spełniającą toast, wydeklamował cichym głosem czterowiersz jakiś Getego na uczczenie piękności i dodał:

— Gdyby zawsze cześć przychodziło takie wdzięki i słodycz charakteru, byłbym najszczęśliwszym z ludzi w mojej ojczyźnie.

Marynia ukloniła się z lekkim uśmiechem, dziękując za ten komplement, jednakże westchnęła nie-

znacznie. Po skończonej uczcie, towarzystwo przeszło do salonu tym samym porządkiem, jak siadano do stołu. Teraz Edward, widząc, że zabierają się do tańców, a muzyka odzywa się w sieniach, poprosił kuzyna pani Nałęczowej, pełniącego obowiązki vice-gospodarza, aby go przedstawił kilku młodym ludziom, których sobie zaobserwował u stołu i uznał za godniejszych tego honoru, unikając jednakże starannie wszelkiego zbliżenia się do Władysława i tych, którzy z nim szeptali po kątach. Nim jednakże Edward powrócił z wyprawy na robienie znajomości, już Marynia została zaangażowaną do wszystkich tańców; dla niego nic już nie zostało prócz walca i polki, których właśnie nie tańczył. Nie mogąc dostać się w parę z Marynią, postanowił sobie nie tańczyć wcale.

Gdy muzyka zagrała, nowe życie wstąpiło w młodzież, uwijając się poczęły wedle sympatyj podobierane pary. Władysław stanął do mazura z Marynią. Pani Nałęczowa, obserwująca zdaleka najmniejsze poruszenie Maryni i Edwarda, widząc, że ten pozostał bez tancerki, zbliżyła się do niego, a zbadawszy powód nietańczenia, deklamować poczęła przeciw zwyczajowi młodzieży, która zawcześnie panny zamawia do tańca, często na dni kilka przed zabawą, odbierając tym sposobem ruch wolny panniekom, co jest prawie brutalstwem, a nie już niegrzecznością tylko. Zareczyła nawet, że dawno miała w myśli zaprowadzenie reformy pod tym

względem, poczynając od córek swoich, którym zabroni przyjmowania zaprosin pierwój, nim muzyka zagra taniec jakikolwiek. Pokonsolowany tém akademik, wojażował sobie po salonie swobodnie, przysiadując się do gawędki z panienkami, a obserwując wszystkich zdaleka.

A w salonie była wielka konspiracya. Pomiędzy dwudziestu kawalerami widocznie poformowały się osobne grupy: w każdej z tych grup widna była postać komendanta, a raczej wybranego na kandydata do szczęścia, któremu pomagali skonfederowani przyjaciele.

Władysław po roczném wzdychaniu i najrozlicniejszych fortelach, mających przekonać panienkę i o jego przywiązaniu i o jego zamiarach, postanowił w tych czasach, przy pierwszój lepszój sposobności, skończyć z panną formalném i najwyraźniejszym oświadczeniem. Możeby był jeszcze dzisiaj pofolgował Maryni, gdyby nie pojawienie się Edwarda, który podług wszelkich przypuszczeń mógł stać się bardzo niebezpiecznym rywalem. Władysław zaobserwował najpierw zbytnie nagle poprzyjaźnienie się pani Nałęczowój z Drzymałami; potem widział zbytnie uprzedzające przyjęcie, jakiego dzisiaj doznali państwo Drzymałowie, dla których i obiad spóźniono o całą godzinę. Dalój widział niesłychane grzeczności, robione przez panią Nałęczową Edwardowi; a nareszcie widocznie pani Nałęczowa podprowadziła Marynię ku kanapie, gdy przyszło

podawać ręce damom do stołu, z czego Edward korzystał z zadowoleniem, a w czasie obiadu Marynia zdawała się być zabardzo zajęta jego konwersacją.

Z tych więc powodów Władysław postanowił nie zwłóczyć, zaprosił Marynię do mazura, w mazurze usadził ją w ambrazurze okna, otoczył się swoją wierną gwardyą, mającą tamować przystęp nieproszonym natrętom i korzystając z przerw tańcowych, oświadczyć się Maryni. Miłość gorąca, czysta, prawdziwa, odejmuje zazwyczaj śmiałość kawalerowi. Niepodobna, ażeby Władysław nie kochał Maryni, wszelako wyglądał na kochającego bardzo rozumnie i wyrachowanie; dlatego téż znalazł odwagę i przytomność umysłu całą, gdy zdarzyła się pierwsza sposobna chwila do zamienienia słów kilku:

— Panno Maryo, mam z panią pomówić chwilę, ale bardzo seryo.

— Ciekawa jestem, co pana skłania do téj roli, w której dotąd nie dawałeś się poznać?

— Niepodobna, ażebyś pani tego nie widziała od roku, że panią kocham nad życie!

— Jakież ztąd wnioszek?

— Mojem marzeniem najrozkoszniejszym jest tylko nadzieja pozyskania wzajemności.

— Ja nikomu złém za dobre nie odplacam: jestem przyjaciółką pana.

— To mało, pani; ja przynoszę miłość najczystsza i o takim uczuciu marzyłem: ja pragnę posiadać całkowicie serce pani...

— Czy to podobna? Moje serce ma najrozliczniejsze obowiązki.

— Miłość nie przeszkadza kochać wszystkich drogich sercu, a wybiera tylko jednego na towarzysza pielgrzymki ziemskiej aż do śmierci. Pani, powiem otwarcie: ja pragnę, abys mi pani oddała rękę swoją....

— To już przechodzi za granicę przyjaźni, jaką mam dla pana....

— To prawda; a więc oprócz téj przyjaźni, nie więcej zyskać nie mogę? Uczyń mię pani szczęśliwym, daj chociaż promyczek nadziei!....

— Byłoby to z mojej strony nieuczciwie, gdybym pana zwodziła, a nie możesz tego mieć za złe, jeżeli ja także kieruję się sercem na świecie, a ono mi powiada stanowczo, że dla pana ma tylko przyjaźń i nic więcej.

— Mówisz pani o głosie serca swojego, a więc istnieje już na świecie szczęśliwy, któregoś pani wybrała z pomiędzy wielbicieli swoich?

— Daruj pan, ale serce ludzkie chce mieć czasem tajemnice, które wzajemnie szanować powinniśmy.

— A więc i ja, chociaż bardzo nieszczęśliwy, szanować je będę....

— Maryniu, proszę cię do figury! — zawołała młodziuchna i śliczna blondynka złotowłosa.

— Służę ci, moja Anielko — odpowiedziała Marynia i pobiegła szybko, zostawiając w rozpaczadoratora, nie mającego powodu wątpić o jej od-

powiedzi, tak była jasną i zrozumiałą. Jednakże po skończonym tańcu w figurze mazura, powróciła na swoje miejsce, gdzie znalazła jeszcze Władysława.

— Pojmujesz pani, że to rozpaczliwe położenie stracić nadzieję, którą przez rok cały karmiło się serce.

— Ja to pojmuję wcale inaczej. Miłość szuka wzajemności: gdy jej nie znajduje, szuka innego przedmiotu, dopóki nie znajdzie odpowiedniego uczucia. Widzę tylko czas stracony nieoględnie, ale powodów rozpaczania nie rozumiem, zwłaszcza u mężczyzny, którego zadaniem na tym świecie nieustanna walka z przeciwnościami.

— Gdybym przynajmniej poznał szczęśliwego rywala.

— Może poznasz go pan z czasem.

— Poczesać się będę, marząc o szczęściu pani, którą tak kocham!

Znowu Marynia zabrana do figury. Władysław powstał z miejsca, nie miał już widać żadnej nadziei, ale umysł czynny i przedsiębiorczy nie próżnował. Stanąwszy w ustronnym kąciку, Władysław rozpoczął przegląd zebranych panienek. Wiele było ładnych i dobrych aniołków, ale posagi nie odpowiadały koniecznym potrzebom Władysława, albo też gdy posag był prawie, wtedy serce panienki już zaawanturowane urzędowo. W czasie tego przeglądu, oczy Władysława spoczęły na ma-

lęj kozetce w rogu salonu, z której wyglądała, jakby z poduszek wyrastająca, główka dziewczyny, rzucającej na świat bolesne spojrzenie. Ta główka miała ładne oczy, usta koralowe, płeć delikatną, włosy bardzo ładne; główka ta wcale szpetną nie była, gdyby tylko osadzoną była na innym korpusie. Ale korpus maleńki, dziecinny prawie, okropnym kalectwem dotknięty, zdawał się dźwigać mozolnie tę główkę, zawielką rozmiarami, a długa i rozrośnięta dobrze ręka, gdy podniosła się do głowy, aby poprawić pukle włosów, powiększała brzydotę w tak nieproporcjonalnej istocie.

Była to panna Eufemia Drzymalanka. Natura skrzywdziwszy ją niesprawiedliwie, dała podobno serce najlepsze w świecie i posag ogromny. Pannę Eufemią liczyć można było na pół miliona fortuny zaraz po ślubie, nie licząc przybytku po śmierci najzdrowszych, najczerstwiejszych i najukochańszych rodziców.

— Co to za głupstwo miłość! — powiedział sobie Władysław w duszy. — Co za głupstwo ów wstyd i lękanie się języków ludzkich, gdy się wybiera na żonę brzydką kalekę. Pozycja przedewszystkiem potrzebna na świecie: mnie tej niepodległej trzeba pozycyi i mieć ją będę.

To powiedziawszy sobie, odrzucił w tył spadające na czoło włosy, spojrział na świat wesoło, bo miał już projekt, a jego wykonanie zostawiał czasowi.

— Panie Władysławie, podobno prowadzisz tego mazura; bądź pan łaskaw nie przedłużać jednego tańca zabardzo: daleko miłsza zabawa, gdy krótko trwa taniec każdy, a za to będzie ich więcej, dostanie się wszystkim potrosze przyjemności.

— Stanie się zadosyć woli pani — odpowiedział Władysław proszącej go z uśmiechem anielskim gospodyni domu, i pobiegł do swojej pary zakończyć mazura, który już go wcale nie obchodził.

Po mazurze przyszedł kontredans; Marynia znowu miała tancerza z innej koteryi. Był to młodzieniec dorodny, okazały, miał czarne włosy i czarne szklące się oczy, słodczy pełne. Zdaje się, że panny sąsiadujące z nim albo były z nim w zmwowie, albo téż bardzo dyskretne, bo żywą prowadziły konwersacją, jakby dając czas potrzebny do tajemnej z Marynią konferencyi. Był to Paweł Godziemba, zazwyczaj tytułowany pomiędzy młodemi Pawełek, i lubiony powszechnie. Od roku bywał on w domu pani Nałęczowej w regularnych odstępach, zawsze wyświeżony, sztywny, elegancki w ruchach i słowach, co dawało niezaprzeczone dowody, że jest konkurentem do Maryni. Jednakże Marynia nie spodziewała się w dniu swoich imienin tyle serc na wiązanke ofiarowanych. Pawełek po westchnięciu głębokim wyszeptał grobowym głosem:

— Panno Maryo, ja panią kocham.

— Bardzo mię to cieszy.

— Czy pani żartuje, czy też robisz mię najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

— Ja nie żartuję: powinnam być wdzięczną za kochanie ludziom.

— Panno Maryo, moje kochanie jest bez granic, a moje jedyne pragnienie na tym świecie—jest posiadać rączkę pani. Czy pani pozwalasz mieć nadzieję....

— Stanowczo nie pozwalam.

— Pani jednym ciosem zabijasz ludzi...

— Będziesz pan zdrowym, ja panu zaręczam.

— Pani jesteś okrutną, naigrawasz się z najświętszych uczuć moich.

— Pan widzisz, że odpowiadam seryo.

— A więc Władysław pewno szczęśliwszy odemnie; widzę to, że dlatego mię pani odpychasz od siebie, bo jego wybrałaś.

— Obadwaj panowie jesteście równie szczęśliwi, tylko, że nie chcecie obejrzeć się po świecie i poszukać wzajemności.

Nowa figura przerwała tkliwą konwersacyą: Pawełek zaniemówił już na resztę kontredansa. Ale po kontredansie nie poszedł w ustronny kącik przyglądać się światu i pozostałym do zrobienia partyom, tylko zasmucił się bardzo i boleśnie spoglądał za Marynią, gdzie się tylko obróciła.

Po kontredansie nowy mazur, a w mazurze trzecie oświadczyły z odkoszem. Jeżeli przykro robi się panience, gdy w sprawie tak ważnej odmawiać

musi, to Maryni dzisiaj nie dali czasu smucić się ani chwilki. Miała do wyboru, albo śmiać się do rozpuku, albo rozpaczać wpędzając do grobu tyle naraz jeden nieszczęśliwych przez nią. Jakoż po czwartych oświadczynach zaczęła się bawić serdecznie, posuwając wesołość aż do złośliwości, bo umyślnie siadała po kąciakach, a któregokolwiek z młodych ludzi łaskawszém potraktowała spojrzeniem, każdy wypowiadał jój się z uczuć i pragnień serdecznych.

Powoli zabawa traciła życie, tańce przerzedzały się, a za to sąsiednie pokoje, gdzie wice-gospodarz częstował winem, zaludniać się poczęły. Zdesperowani szukali poprawy humoru w kielichu. Około drugiej godziny zaczęła się recydywa tańcowej gorączki, — dymisyonowani konkurenci zaczęli tańczyć do upadłego z takim życiem, jak gdyby każdy zobaczył złote nadzieje. Akademik po trzecim kielichu przetaił okulary, i zobaczył, że panna Marya jest rzeczywiście piękną, a ludzie nie tak źli w ojczyźnie, kiedy się kto zapozna z nimi. Z wszystkimi prawie już uściskał się serdecznie, wyjąwszy Władysława, który stronił od kielicha i tańca, a zasiadłszy około panny Eufemii, w szeroką zapuścił się konwersacyą.

IV.

O BICIU SERCA. W KRÓTKIŁJ SUKIENCIE.

Bodaj téżto ludzi Pan Bóg kochał! Jak zacie-
trzewią się o jedném myśląc, zapomną o reszcie

świata, ba! nawet o najbliższych sercu. Pani Nałęczowa miała się za wzorową matkę, słowiac zgrabnie dobrą partya dla Maryni, a Jadwisię w krótkiej trzymając sukience, aby nie dorosła przed zdecydowaniem losów starszej siostry. Kiedy jęj się zda wało, że wszystko w domu ma po oku, rzeczywiście ani spojrzala na Jadwisię, zdając o nięj staranie guwernantce i Panu Bogu. A że guwernantka w domu, gdzie jest panna dorosła, gra rolę często bardzo ważną, zdarzyło się, że i panna Kuchs guwernantka Jadwisi, a konfidentka Maryni, była w czasie zabawy niesłychanie wziętą przez młodzież. Każdy bowiem szuka protekcyi, nawet u pieska faworyta posażnej panienki o którą się stara. Ztąd chuda Niemka nie wychodziła z tańca, lubowała się komplementami kawalerów, dowiadywała tajemnych pragnień ludzkich, spuszczaając całkowicie z oczu swoją elewę. Pan Bóg tylko przez dodanego anioła czuwał nad dziewczyną, która szła za instynktami serca.

Był w sąsiedztwie na małej dzierżawce syn starego oficera, z dobrém imieniem, urodny chłopak i poczciwy, który dorabiał się z kamienia kawałka chleba i pozycyi na świecie. Ojciec jego zadzierżawił od pani Nałęczowej wioseczkę, którą mu wypuściła po Bogu, mając wzgląd na starego żołnierza dobrze zasłużonego krajowi. Kiedy umarł stary wiarus, potwierdziła kontrakt synowi na tych samych warunkach, zostawiając go do lat sześciu,

a przyjmując w domu jak krewniaka, tytułowała go po imieniu chrzestném. Kazio był wdzięcznym za łaskawe względy, robił przysługi liczne, ile razy pani dziedziczka zapotrzebowała męskiej głowy w interesach; jój dom był dla niego prawie całym światem, mało szukał ludzi, znajdując całe już szczęście w wyplacaniu się z długu wdzięczności. Cała rodzina i dalsi krewni pani Nałęczowój, przywykli uważać go za członka rodziny, i ani komu przyszło do głowy pomyśleć o tém, że Kazio jest bardzo ładnym, zdolnym, wesołym i poczciwym chłopcem, posiadającym wszystkie warunki do podobania się paniątkom. Chudeusz na dorobku, nie mógł być posądzonym o zuchwałę zamiary sięgania po rękę którój z dziedziczek młodych, i nie dawał téż najmniejszego pozorów zuchwalstwa. Są matki oceniające wartość rzeczywistą ubogich chłopców, a lekając się zakradnięcia którego do serca córeczki swojej, trzymają ich zdaleka, traktują protekcyjnie, ażeby ich w niczém nie ośmielać. Pani Nałęczowa względem Kazia, którego lubiła od dzieciństwa, zaniedbała téj ostrożności. Kazio téż zgruntu był poczciwym chłopakiem, miał uczucie honoru i pojęcie własnej godności, które go powstrzymywały od upokarzających zachcianek i broniły od zawodów rozczarowujących. Panią Nałęczową kochał jak matkę, jój córki jak siostry rodzone. Prawda, że Jadwisia dziecko doznawała tkliwych dowodów jego przyjaźni, a gdy wpatrzył się w nią cza-

sem ukradkiem, trudno mu było od niej oderwać oczu. Jadwisia znowu wymagała często przysług od Kazia, a odpłacała ślicznym uśmiechem. Młody chłopak lubo nie poważył się ani mówić, ani myśleć o takim szczęściu, żeby aż Jadwisia miała być jego żoną, wszelako utaić tego z czasem nie mógł przed sobą, że ją bardzo kocha, a oczy Jadwisi były dla niego drobniuchną furteczką, przez którą zaglądał do nieba marzeń.

Jadwisia znowu, gdy coraz było jój niewygodniej w krótkiej sukience, myślała sobie jak każde dorastające dziewczę o świecie i przyszłości swojej na nim. Rzecz naturalna, że w tych dumaniach pójście za mąż było jedyną karyerą dla kobiety. W konsekwentnym rozważaniu téj konieczności, przychodziły różne okoliczności jakie wpłynąć mogą na wybór męża: wtedy serduszko rozrzewniało się dziwnym uczuciem, jakby objaśnić chciało dziewczynkę, że bez jego głosu niepodobna być na świecie szczęśliwą. A więc tedy doszła, że pokochać trzeba chłopca. Nie na tém koniec, kiedy się wie, że pokochać trzeba, kiedy pytane serce odpowiada, że ma w sobie uczucie miłości, zaraz to uczucie przymierzyć trzeba do żywego świata. Jadwisia tedy przymierzyła najpiérwój do tego, który znała, a na jój świecie Kazio był piérwszym z brzegu. Ledwie pomyślała sobie: jakby téż to było sercu gdyby pokochała Kazia, serduszko poczęło bić mocno, twarzyczka rumieńcem zakwitła, w oczach aż

łezki stanęły. Dziewczyna miała przy tém usposobieniu siłę woli niepospolitą, nie pozwoliła złudzić się sercu, ale odjąwszy z oczu duszy, obrazek Kazia, przyłożyła inny; potém drugi, trzeci, dziesiąty: dziwna rzecz, że serce bić nie chce! Wróciła się do Kazia i znowu z nim miło. Po jakiejś chwili rozumek wziął panowanie i zaczął krytykować.

— Już to jeżeli mam pójść za mąż, myślała sobie, bez kochania nie pójdę. Zdaje mi się, że kocham Kazia, ale gdzież znowu Kazio dla mnie na męża! Ładny wzrost jest to przymiot męskiej urody, a przecież chociaż Kazio rosły, są przecież wyżsi od niego. Władzio ma daleko ciemniejsze włosy i połyskliwsze od Kazia, być może, że pomaduje; muszę ja prosić Kazia żeby się wypomadował. Oczy bo ma bardzo ładne: kiedy na mnie patrzą, zdaje mi się, że wyszły z kąpieli, takie czyste i szklące. Co prawda, w jego spojrzeniu za wiele słodyczy, męczyzna przecież powinien być srogi jak pan Antoni... ale co prawda ja bałabym się znowu takiego męża!... Usta bo ma najładniejsze; wąsy za miękkie, ale żeby téż były ostre i wielkie jak pana Michała, toby mu już chyba pokaleczyły jego usta śliczne.

Powoli jakoś Kazio wytrzymał krytykę i okazał się bardzo ładnym chłopcem, zwłaszcza gdy ustrojony w czamarkę wyszywaną pętlcami. Gdy Kazio przyjechał a Jadwisia przypatrzyła mu się na nowo, okazało się, że trudno w nim dopatrzeć wady;

a gdy w nią wpatrzył się po swojemu ukradkiem i zaszkliły się jego ciemno-niebieskie oczy, biedne serce Jadwisi tak zaczęło bić, że aż złękła się, rumieniec wystąpił na jej twarzyczkę i uciekła do innego pokoju, dźwigając wielką swoją lalkę, której szyła mantylę najnowszym krojem, a która, co prawda, poczyniała ją straszliwie nudzić.

Musiało i Kaziowi zrobić się coś niedobrego, bo spuścił oczy w ziemię, a na pytanie pani Nałęczowej długo nie odpowiadał, naciskając czoło dłonią, aż się złękła poczciwa dziedziczka i zawołała:

— Co ci jest, Kaziu? takiś blady....

— Nagle... rozboleła mię głowa... ale to przejdzie.....

— Poczekaj, dam ja ci wyprobowane moje lekarstwo.

To mówiąc, pobiegła do swojej apteczki, przyniosła eteru octowego, sama zlewała mu głowę, kazawszy piérwój chustką zasłonić oczy; wcierała aż do skóry mocny eter przez rzęsiłą czuprynę. Szczęście Kazia, że miał zasłonięte oczy, nie z nich wyczytać nie było można, a pani Nałęczowa nie miała subtelnego czucia w ręce, nie domacała się żadnej myśli w głowie Kazia, gdy mu nacierała cież, czoło i skronia.

Lekarstwo nadało się wybornie, bo przyniosło ulgę. Ucałował chłopak ręce dziedziczki, dziękując za ratunek, odpowiadał już przytomnie i logicznie na zapytania w interesach ziemskich, ale jakoś

zwykłego humoru swego nie odzyskał. A gdy posiadano do stołu, przy obiedzie był zamyślony. Pani Nałęczowa kłopotowała się jeszcze o głowę chłopaka, a Jadwisia aż zaglądała mu w oczy, tym bolem głowy przestraszona, i spostrzegła, że Kaziowi bardzo ładnie z bolem głowy. Ale gdy on na nią spojrzał po swojemu, długo, przeciągle, łzawo, znowu zaczęło jój bić serce, aż upuściła widelec na ziemię. To było szczęście dla niej, bo schowała rumieniec przed ludźmi, którego poczęła wstydzić się sama nie wiedząc dla czego. Gdy się podniosła po długim szukaniu, aż się matka przelekła, tak się czerwieniła Jadwisia.

— Na Boga! moje dziecko, nie schylajże mi się do ziemi, krew uderza ci do głowy; może podnieść widelec służący.... Panno Kuchs, trzeba żeby Jadwisia nie pijała rano kawy, ona za krwista. Kto téż to słyszał, żeby panienka w twoim wieku była taka krwista!?

A i upiekło się z rumieńcem Jadwiś, nikt nie spostrzegł z jakiego wybiega powodu.

Ciągło się tak sobie od roku, Jadwisia już się nie rumieniła za spotkaniem Kazia; Kazio nie zamyślał się i nie tracił humoru, gdy patrzył na Jadwisie, ale obojgu było niesłychanie miło, gdy byli w jednym pokoju, a razem bali się bardzo, żeby kto nie spostrzegł co dzieje się w ich sercu. Ta bojaźń rosła w miarę jak coraz lepiej rozumieli swoje spojrzenia, aż urosła do tego stopnia, że lękali się

mówić ze sobą. Spozrzała to razu jednego matka, że Jadwisia do Kazia nigdy nie odzywa się prawie. Przypisała to dumie dziewczyny i wylażała ją za to, że posponuje ubogiego chłopaka, który przecież ma dobrą krew, poczciwe imię, a poczciwością przenosi niejednego panicza. Tłumaczyła się jak mogła dziewczyna, obiecując poprawę, zaręczając, że nigdy Kaziem nie pomiatała, a jeżeli rzadko odzywa się do niego, to dlatego, że zawsze tak wypadnie, iż mówić z nim nie potrzeba.

Jednakże Jadwisia poczyniała być coraz śmielszą, widząc, że nikt nie spostrzega stanu jęj serca. Bała się jednakże niepojęcie zostać choćby na chwilę sama jedna w pokoju z Kaziem. I on drżał tak samo, gdy się to zdarzyło, a w całym domu nie było nikogo, ktoby dostrzegł chociaż ślad gorącej sympaty, która związała dwa serca.

Kazio teraz zerwał prawie stosunki ze światem; widywał tylko ludzi w domu pani Nałęczowój, u siebie prawie nikogo nie przyjmował. Jego samotnia stała się dlań najmilszą; chłudził sobie domek nizki, stroił podwórko i ogródek trawnikami, krzewami i kwiatkami; z remanentów gospodarskich znaczną część zysku poświęcał na książki, gustował w rzeczach poczciwych literatury ojczystej, bawił się malowaném szczęściem, a od tęsknoty uciekał do historyi, w rozpamiętywaniu życia bohaterów znajdując pokrzepienie sił męzkich, roztkliwiających się marzeniem o szczęściu Jadwisi.

W imieniny Maryni, Kazio, rzecz naturalna, że grał rolę niepospolitą w domu pani Nałęczowój, która nawykła do jego usług, tak, że się prawie obywać bez nich nie mogła. Kazio, zmęczony gospodarowaniem, wyszedł do ogrodu odetchnąć świeżem powietrzem; gwar i kapela znużyły go, zagłębił się w najoddalsze ulice, ażeby oddalić się od cizby ludzkiej i podumać samotnie. Kiedy zbliżył się do ławeczki, którą bardzo lubiła Jadwisia i często siadywała tam z guwernantką, w ciemności zdawało mu się, że widzi białą sukienkę. Z początku myślał, że to złudzenie wyobraźni, ale gdy przyszedł bliżej, biała sukienka poruszyła się i lekki wykrzyk przestrawu wypadł najoczywiściej z piersi Jadwisi.

— To ja, panno Jadwigo — odezwał się Kazio, zaambarasowany tém niespodziewaném spotkaniem — ale co tutaj pani robi? noc dosyć chłodna, możesz się pani zaziębić, a pewno przysłaś użyć chłodu po tańcu.

— Nie.... ja bardzo mało tańczyłam, ale mi trzeba było.... powietrza....

To gdy mówiła, pomimo ciemności, widać było najoczywiściej, że ocierała oczy chusteczką, a w głosie było można dosłyszeć łkanie.

— Panno Jadwigo, ja widzę, że pani płaczesz; jakież powód?... czy mama panią połajała o co?....

To mówiąc, wziął jęj rękę i do ust przycisnął, a całując ją drżącemi ustami, uczuł dobrze, że ta rączka w febrze.

Dziwny też to wpływ nocy i samotności! Kazio w tej chwili zapomniał o żywym świecie. Trzymając rękę Jadwisi, zdawało mu się, że pieści swój ideał w myśli, że marzy swoim zwyczajem, i wyszeptał:

— O mój aniele najdroższy, moje ty szczęście najdroższe! któż zachmurzył twoje czoło, kto brylantowych łez strumienie z oczek twoich wytoczył?

— Ty!—odpowiedziała drżąca Jadwisia.

— Ja?!... Tego nie pojmuję; byłżebym zbrodniarzem zabijającym mój ideał?

— Dzisiaj ani razu nie spojrzałeś na mnie, panie Kazimierzu!! Dla ciebie miłszą była ciżba ludzi, pośród której uwijałeś się wesoło.... a mnie było bardzo tęskno pomiędzy ludźmi; dlatego uciekłam tutaj i zapłakałam sobie....

— O najdroższa moja! To wina matki twojej, która włożyła na mnie gospodarski urząd, z którego wywiązywać się musiałem. I ja uciekłem od tej ciżby, mnie także Pan Bóg poprowadził w tę stronę, aby ciebie spotkać, najdroższa!... Ale co ja mówię?!... Panno Jadwigo, przebacz pani, zapomniałem się bardzo, znieważam ciebie.... znieważylem honor własny, zbliżając się do ciebie.... Boże! Ty bądź moim świadkiem, że nie miałem złej intencji; ślepy los zaprowadził mnie tutaj....

— I tak pan bardzo żałujesz tego?

To rzucając pytanie, zapłakała znowu dziewczyna, przyciskając do oczu chusteczkę.

— Ja miałbym żałować tego?... O nie, ja tylko nie wierzę szczęściu mojemu! Ja ciebie kocham najczystszą miłością, miłością aniołów; Bóg nie skarże mię za to, że ci powiedziałem o tém.

— O! jak ja ciebie kocham!
To mówiąc, Jadwisia obwinęła rączką jego szyję, usta zlepiły się pocałunkiem długim, gorącym. Pótem oboje przestraszyli się żywego świata, ona wyrwała się z jego ramion i uciekła do wrzawy bałowej.

Lekki wietrzyk powiał z północy, ochłodził krew bijącą do głowy Kazia; ocknął się chłopak z cudownego upojenia, obejrzał się dokoła, nie było nikogo! Miałżeby to być sen tak łudzący? nie, on czuł na swoich ustach jeszcze ten pocałunek rozkoszny.

Po chwili błąkania się myślą, on także pobiegł ku dworowi i wszedł ochłodzony do tego żaru towarzyskiego. Pijane twarze spojrzwały na niego głupowatym wzrokiem, chociaż wszystkie śmiały się leniwie, wstrząsała je czkawka. Muzyka wrzała chrypliwie, fałszywie, ale dobywając ostatniej siły akkordów, by zagłuszyć wybijane hołubce. Spojrzenia dziewcząt były ociężałe, ale rwały się do uciechy, upojone tańcem. Młodzież uznojona potem, żarzyła się czerwonymi twarzami. Matki drzemały w téj wrzawie tanecznej. W całym salonie jedna tylko Jadwisia była blada, trwożliwa, ogłądała się niespokojnie po całej ciżbie ludzi, jakby

lękała się odkryć oskarżyciela, który ją podejrzwał i mógł obwinić o to, że ona przed chwilą poważyła się cierpieć i być szczęśliwą z kolei. Biegając oczywiście niespokojnie dokoła, spotkała niemi we drzwiach Kazia, bladego także i przelęknionego. To spotkanie oblało rumieńcem oboje. Kazio przekonał się, że jego szczęście, które poznał przed chwilą, nie było złudzeniem, bo Jadwiga spuściła szybko oczy, rozplątując chusteczkę, która powikłała się z bukiecikiem w jej ręku.

V.

O DOKONANEJ OPERACJI W SERCU.

— Moja siostrzyczko, ty powiedz Maryni, ona cię bardzo kocha, ma do ciebie szczególniejsze zaufanie. Zaręczam ci, że nie masz na świecie matki, któraby więcej zastanawiała się nad warunkami szczęścia w małżeństwie, jak ja; przeglądałam pilnie każdego z konkurentów przymioty, żaden nie odpowiadał wymaganiom uczciwym. Już to samo przez się widoczne, że „o głodzie odechce się kochać wojewodzie;” ja sama doświadczyłam ile to niesmaku i goryczy wprowadza niedostatek gdy się zakradnie do domu. Nieboszczyk mąż mój, Panie daj mu niebo! miał humor niegodziwy, łajał, zrzędził, w niczém dogodzić mu nie podobna było ile razy zwikłały się interesa. Pamiętałam więc ażeby konkurent Maryni miał odpowiedni majątek potrzebom

dzisiejszym eleganckiego domu. Wszyscy którzy się o nią starali, są zaszargani w długach; zapłaciwszy posagiem hipoteczne i rewersowe długi, zostanie każdy ubogim posesyonatem lichéj wioszczyzny z której zaledwie wyżyć podobna. Tymczasem Edward będzie miał prawdziwie pańską fortunę, gdy zwłaszcza jedyna siostra kaleka i bardzo rozsądna panienka, więc nigdy za mąż nie pójdzie. Teraz proszę cię, jakież przymioty Edwarda?

Czegóż to niedostaje Edwardowi? Przystojny, edukowany, ba! nawet uczony, wymowny, elegancki chłopiec.

— Wszystko to dobrze moje kochanie, ale najważniejszój rzeczy w tém wszystkiém brakuje, — to jest przywiązania Maryni! Ona dla niego żadnej nie ma sympatyj.

— Ona jój nie ma jeszcze dla nikogo!

— A już to daruj, kochanie, ale Pawełka bardzo lubi.

— Któż ci to powiedział? — wszakże najwyraźniej Pawełkowi odmówiła kiedy jój się oświadczył w kontredansie, sama to podsłuchałam... Albo, powiedz sama, jest téż to takt i dowód wychowania dobrego, oświadczać się pannie w tańcu?!

— Nie mówię żeby to było z taktem, ale ty tak pilnujesz dziewczyny, tak odsuwasz sposobności potrzebne młodym ludziom do zbliżenia się i rozmowy z paniczką, że niejeden wiedząc jaką to jest nieprzyzwoitością, popełnić ją musi. Ty podsłuchałaś

Marynię dającą Pawłkowi odkosza, a ja w końcu zabawy wcale inną widziałam scenę.

— Jaką? na Boga.

— Pawelek był smutny bardzo, bo kocha szczerze biedaczysko; jak mu odmówiła, zupełnie stracił głowę i humor: stanąwszy raz w kąciku zdawało się, że przyrosł do ściany. Marynia często gęsto spoglądała na niego i widziałam to jasno, że rwią się z jej piersi westchnienia.

— To jeszcze nic nie dowodzi.

— Zaczekaj. Otóż ku końcowi zabawy, Marynia przechodząc około niego, zapytała dlaczego taki smutny?—Pani o tém wiesz najlepiej, boś mię zrobiła nieszczęśliwym.—To wina pańska, rzekła Marynia: trzeba mię było tak nagle nie napadać; ja chcę być przekonaną o tém, że mię pan kocha.—Czemże ja panią przekonam?—Cierpliwością, odrzekła. Wtedy chłopakowi powróciło życie, chwycił jej rękę, ucałował tak serdecznie...

— Matko najświętsza! Co za brak taktu? tego nigdy nie spodziewałam się po Maryni! Ale dobrze, że mi powiedziałaś o tém, już ja postaram się o wygładzenie téj niezręczności, a chłopak nie będzie się łudził prózną nadzieją... Tylko ty przemów do niej na korzyść Edwarda, zaklinam cię Franiu! takiej partyi niepodobna z rąk wypuszczać.

— Moje kochanie, być jednak może iż się ty sama łudzisz; kto wie czy Edward ma zamiary konkurować do Maryni?

— Otóż pod sekretem, powiem ci otwarcie. Pani Drzymalina wczoraj wystąpiła do mnie w sposób najurzędowniejszy, napisała list, w którym prosiła o wstęp do domu mojego dla Edwarda, który chce starać się o rękę Maryni. Masz list, przeczytaj sama i osądź czy tu może być jaka wątpliwość?

Kochana siostrzyczka przeczytawszy list ucieszyła się niesłychanie, z innego zaraz tonu zaśpiewała, mając pewność, że tak świetne połączenie nie jest urojeniem.

— Cóżś odpisała? Na Boga!

— Odpisałam, że mam sobie za prawdziwy zaszczyt przyjmować w domu pana Edwarda mającego takie zamiary, — i jeżeli tylko znajdzie się sympatya wzajemna, o czém nie wątpię, będę bardzo szczęśliwa z podobnego związku mojej córki.

— Bardzo dobrze zrobiłaś moja siostrzyczko, otóż ja nie odjadę ani dzisiaj, ani nawet jutro jeszcze, będę razem z tobą pracowała około serca Maryni, i mam nadzieję, że to serce podda się rozsądkowi.

Jakoż najukochańsza siostrzyczka kazała wyłożyć już zaprzężone konie, a przez konnego posłańca zawiadomiła męża i dzieci, że kilka dni u siostry zabawić musi z powodu interesu familijnego. W liście nie napisała wyraźnie o jaki to chodzi interest, ale było tyle podsuniętych wskazówek i pierwszych liter z kropkami, że niepodobna było niedomyślić się o co chodzi, a nawet każdemu co

list przeczyta zdawać się będzie więcej jak jest w istocie.

Marynia zdziwiła się niesłychanie gdy Ciocia już wypakowana wniosła się napowrót do zajmowanego pokoiku, kiedy przed godziną była nieczułą na jój próśby najtkliwsze. Ciocia ściskana i całowana serdecznie, szepnęła Maryni w ucho, że została aby pomagać jój szczęściu: Marynia o mało nie udusiła jój za to z radości. Biedne dziewczę, ani wiedziała o co chodzi, a spodziewała się pewno wcale innej pomocy.

W parę godzin Jadwisia z panną Kuchs studyowała przy fortepianie fantazyą z Wolnego strzelca, — „Wilcza jama,” — a w sąsiednim gabinecie salonowi, mama, ciocia i Marynia zasiadłszy przy robotach, rozmawiały dość żywo, krążąc z daleka od głównego przedmiotu swoich intencyj. Ile razy zbliżać się poczęły do celu — Jadwisia jakby umówiona sfałszowała jakiś ton imitując prawdziwe wycie wilka, panna Kuchs wybuchała bolesném: „ach!” — lub: „*Ach! herr Jesus!*” — Z początku przerywała się konferencya familijna wybuchem śmiechu, powoli zaczęła irytować, — nareszcie kochana mama zawołała:

— Na Boga! Jadwisiu, bądź uważniejszą, bo mię spazmów nabawisz i bolu głowy.

— Mnie się zdaje, że Jadwisia nie ma talentu muzycznego.

— Owszem, ma wielki talent, nawet bardzo lubi muzykę. Ale dziwna dziewczyna ze swojemi kapryсами: czasem zagra tak wdzięcznie, że aż grą swoją za serce chwyta; to znowu wpada w dziwne dystrakcye, tłucze klawisze z całej siły, dobywając dzikich akordów, w których często niemilosiernie fałszuje. Coraz robi się niecierpliwszą, ja tego nie rozumiem. Dzieci rozliczne miewają fantazyę, ale ona...

— Moje kochanie, prawdą a Bogiem, Jadwisia ma prawo niecierpliwić się, na tym świecie. Pamiętaj, że ona kończy rok siedemnasty w końcu września.

— I cóż jój złego? nie zestarzeje się w oczach ludzi tak prędko na świecie.

— Pani sędzina powiada że ludzie śmieją się z tych majtek noszonych za długo...

— Ludzie zawsze są złośliwi.

— Daj pokój, nie wojuj z nimi. Jabym radziła pozbyć z domu pannę Kuchs, a Jadwisię przebrać w sukienki jój wiekowi odpowiednie...

— Zdaje mi się, że już nie długo poczeka; niech tylko zdecyduje się stanowczo Marynia.

— Moja mamo, mnie nic pilnego; czy sprzykrzyłam się kochanej mamie?...

— Kochane dziecko, ty wiesz, że szczęście twoje, to cel jedyny życia mojego. Gdybym nie miała doświadczenia, to nie napędzałabym cię do postanowienia o twoim losie tak natarczywie. Ale widzisz kochanie, każdej dziewczynie raz tylko Pan Bóg

daje szczęście na tym świecie; byłby niesprawiedliwym, gdyby jednę dawał do wyboru wszystko, co ma społeczeństwo najdoskonalszego, a zapominał o innych. Szczęśliwa ta kobieta, która chwyciła los wielki jaki jej Pan Bóg dawał w ręce. Ze szczęściem igrać nie można, bo jak się raz wymknie nie wraca nigdy. Niech ci powie ciotka, jaką ja miałam partya, byłam jak ty młoda i świeża, zdawało mi się, że jeszcze czas, a gdym się zapóźniła trzeba było iść jak się zdarzy... ty pamiętasz przecie, ile łez wylewałam w tém pożyciu!

— Oj zapewne kochana Maryniu, że korzystać trzeba, bo szczęście nie wraca...

— Gdzież to szczęście widzicie panie?

— Czy ty nie spostrzegasz go jeszcze?

— Moja mamó, rzekła błędna Marynia, której oczki łzą szklić się poczęły — mnie najlepiej w domu u mamy...

— Tak całe życie zostać nie można, mężczyźni są niecierpliwi, wytrzymywać ich latami całemi niepodobna... Masz wielbicieli kilku, ależ jeden z nich powinienby zwrócić na siebie twoją uwagę...

— Któż taki? moja mamó...

— Nie żartuj, kochanie, Edward nie ma równych sobie rywali...

— Edward?!... o mój Boże!... I Marynia zasłoniła oczy rękami, łzy płynęły z tych oczu rzesisto.

— Czegóż płaczesz? moje dziecko...

— Mamo, ja myślałam, że inne imię wyrzekną twoje usta! Mamo droga ty nie patrzysz w moje serce...

— Maryniu, mnie matce nie wolno być słabą i ulegać zachceniom chorowitój fantazyi. Moim obowiązkiem jest budzić w tobie rozsądek i przypominać, że szczęściu małżeńskiemu trzeba trwałości, i tego wszystkiego co je ubezpiecza, pomijać nie można.

— Ależ trzeba przedewszystkiēm kochać, ażeby być szczęśliwą... bez kochania niepodobna oddawać ręki...

— Miałabyś kochać kogo innego?

— Zdaje mi się, że kocham, moja droga Mamo...

— Kogóż takiego? powiedz moje dziecię, otwórz serce przed matką... nie godzi się córce mieć tajemnice przed matką...

— Mamo, ja kocham Pawła!..

— Pawła?!..—wykrzyknęły razem i matka i ciotka z udanem podziwieniem.

— Ależ Paweł nie posiada majątku odpowiedniego!..

— Majątek nie daje szczęścia...

— Ależ Paweł pochodzi z drobnój szlachty, nie ma żadnych połączeń familijnych dystyngowańszych!..

— Co mu po rodzie wielkim, kiedy ja go kocham, a serce jego dla mnie tylko bije...

— Dziwna z ciebie dziewczyna! Paweł nawet mniej ładny od Edwarda...

— Jest dosyć pięknym, aby go kochać...

— Ależ moja Maryniu, to chłopak nie mający eleganckiego wychowania!

— Przecież tak kochać umie!

— Moja Maryniu, — odezwała się nareszcie ciotka mileżąca dotąd — ja chciałabym bardzo widzieć cię w związkach z człowiekiem, którego byś kochała, ale żeby i ten kochał cię wzajemnie, całym sercem.

— Zdaje mi się, ciociu, że od Pawła kochać więcej nie można...

— To prawda, że nie można; osobliwy to chłopak, bo nawet trzy dziewczęta razem kochać może...

— Jakto?! — wykrzyknęła Marynia, zrywając się na równe nogi.

— Są widzisz ludzie, mający tak potężne uczucie miłości, że ono wystarcza im na kochanie trzech dziewcząt razem.

— Miałby Paweł kochać inną jeszcze?! O nie, ciociu, tak można kochać jedną tylko, ja to widzę z jego oczu...

— Nie uprzedzaj się, moje dziecko, ty wiesz jak ja cię kocham, pewniebym pomagała ci we wszystkim, czego twoje serce pragnie. Być może, że się myślę... ale zdaje mi się, iż winnam cię ostrzedz...

— Ciociu! mów, zaklinam cię na Boga!

— Nie dziwuj się temu, kochanie. Mężczyźni nie są takimi, jak ich sobie wyobrażnia dziewcząt przed-

stawia. Są pomiędzy nimi ludzie z charakterem, ale do tego potrzeba wyższego ukształcenia, szlachetniejszych pojęć, sięgania wyższych celów... Ludzie zwyczajni bez starannego wychowania są sobie bardzo prozaiczni, swawolni, a nawet często do okrucieństwa posuwają swawolę, nie zastanawiając się nad tém co robią. Twój Paweł jest także nie lepszym, to złudzenie młodej wyobraźni... Twoję młodziuchne i czyste serce wyobraża sobie chłopca z pozorów słodziuchnego, że jest doskonałością samą... Prawda, że Paweł nie posiada tych szpetnych wad, które z samego pozoru odstręczają. Owszem, ma on powierzchowność do podobania się bardzo powabną... Wié téż o tém... i może to jest powodem, jego...

— Ciociu! na Boga cię zaklinam, powiedz wyraźnie, nie dręcz biédnego serca...

— No, pocóż ci to w bawełnę obwijac, Paweł jest bałamut nieporównany, nie ty jedna na tym świecie, którą on kocha i nie ty ostatnia... zdaje mi się, że obecnie nawet serce jego balansuje pomiędzy dwoma...

— Ciociu! co mówisz, — więc on kocha inną jeszcze?

— Tak samo jak ciebie... tak samo jój to powiada; tylko, że dziewczyna ostrożniejsza od ciebie... znasz Helenkę, siostrzenicę mojego męża.

— Dosyć, dosyć mam tego!.. Nie bój się mamo, ja go znieawidzę!.. Cóż za okropny zawód!..

To mówiąc, Marynia przycisnęła rękę do serca i powolnym krokiem wyszła do swego pokoiku.

— Moja siostrzyczko, ja się zaczynam bać o biédne moje dziecko; ona tak zbladła...

— Nie lękaj się, to przejdzie... w sam czas zabolalo serce, więc prędko przeboli; zaręczam ci, że za dwadzieścia cztery godzin będzie zdrowa. Teraz się sobie wypłacze dowoli, a jutro ani cień Pawła nie zostanie w jej sercu...

— Trzeba jej było pierwój co innego powiedzieć...

— Wszystko na nic się nie zda, kiedy dziewczyna kocha! Rzuć hańiebne oskarżenie na jej ideał, powiedz, że złodziej lub zbójca... to ją zaboli, ale nie wygasi miłości. Inną jest moralność serca w pojęciu kobiety... ona mu odpuści wszystkie grzechy, zaufa swojemu kochaniu, że ono z upadku podźwignie grzesznika; ale powiedz, że ten którego ona kocha jest bałamut... że kocha inną, wtedy będzie dopięro zbrodniarzem; wtedy nim pogardzi na zawsze i zapomni z czasem zupełnie...

Lekarstwo cioci dobrodziejki było okropne, ale rzeczywiście skuteczne. Marynia płakała kilka godzin, potem usnęła. Zbudzenie się było febryczne, z boleściami, wstrętem do ludzi i świata, trochę bolała głowa, ziemiło coś serce, kłuło w boku, ćmiło się w oczach; bo téż to straszna operacya kaleczyć i szpecić ideał ukochany, a potem wyrwać go z pamięci i rzucać w błoto, z którego powstał. Są dzie-

wczęta wątłe i słabe, których subtelne ciało nie wytrzymuje téj walki: czasem pęka serce, czasem uschną płuca, czasem mózg się spali, a czasem znowu zwycięzko wyjdzie natura z téj walki strasznej. Jużto po takiej chorobie serce traci wiele, przestygnie, mniej żwawo bije, mniej miewa popędów szlachetnych. Co to komu zaszkodziło kiedy? Owszem, to bardzo zdrowiu pomaga. Bo po takiej chorobie potęgi serdeczne osłabną, ucieszy się niesłychanie rozum, maltretowany tyle czasu przez serdeczne wybuchy; dobywszy się na wolność, rozwinię już swobodnie, zapanuje w całej istocie, wykształci egoistkę mądrą. A potem życie popłynie sobie już spokojnie, regularnie, rozum je usystematyzuje, higienicznie, artystycznie, ureguluje zachcenia i pragnienia do warunków, otaczających rozsądną istotę w jéj towarzyskiem położeniu.

Co tam wiedzieć ma egoista o zimnie, jakie wieje z niego na świat i ludzi. Człowiek rozumny rozwija się jak drzewo, jak roślina, zapuszczając tam korzenie, z kąd dobyć może soków pożywnych dla siebie; co go to obchodzi, że więdnije około niego inna istota ogłodzona!

Marynia po dwóch dniach już nie była mizerna, trzeciego dnia była ładna, miała już nawet wyborny apetyt. Zdawało się jeszcze matce, że jéj zdrowie niepewne, bo słabsze były uściski Maryni i mniej gorące pocałunki. Ciocia zapewniała, że to zwyczajna koléj przejścia od niemocy do zupełnego

zdrowia; wzięła na siebie całkowitą kuracyą, tyle opowiadała, rozumowała, że nareszcie Marynia śmiać się poczęła ze swojej słabości i dziękowała jej czule za opiekę serdeczną.

W tydzień pan Edward powrócił z Warszawy wyekwipowany i zaraz też pojawił się u pani Nałęczowej z wizytą. Marynia była dlań bardzo grzeczną, bardzo wesołą, co zobaczywszy kochana ciocia, odjechała do domu, winszując sobie zwycięstwa stanowczego nad kapryсами natury dziewczęcej. Odtąd nie było już żadnej kwestyi co do oddania ręki Edwardowi; mama cieszyła się bardzo, popisała listy do Malcza do Warszawy, do Immerwara do Wrocławia, zamawiając srebra i bieliznę na wyprawę potrzebne, — oczekiwała tylko niecierpliwie, rychło akademik niemiecki z systematycznego planu wystąpi z urzędowemi oświadczeniami, których nareszcie doczekała się z wielką radością. Państwo Drzymałowie, dowiedziawszy się od syna, że Marynia dała mu już słowo, zajechali z wielką paradą oświadczyć urzędowo i podziękować, co się stało w małym kółku, jakby w sekrecie, a dlatego że w sekrecie, więc po trzech dniach promieniem dziesięciomilowym naokoło rozeszło się po okolicy, że Edward Drzymała jest już po deklaracyi z Maryą Nałęczówną. Od pierwszego poznania się młodej pary do stanowczej decyzji upłynęło całych trzy tygodnie. Niemało tém zgorszyło się sąsiedztwo, zdumiała młodzież wszystka, — ale cóż robić? | Wie-

szano psy na matkę, na pannę, na konkurenta szczęśliwego, wszystko to na nic się nie zdało, bo deklaracya stanęła na prawdę; nie wiedzieli tylko jeszcze ludzie, kiedy ślub, gdzie ślub, z weselem czy bez wesela? Bawili się téż domysłami ile możliwości: jedni wypędzali państwa Drzymałów starych z dworca wspaniałego do Warszawy na dewocya, inni odcinali połowę dóbr dla Edwarda i kazali mu zmurować pałacyk, w guście włoskim; inni ruszali z miejsca panią Nałęczową: nie wiedział nikt o tém, że wszystko urządzoném już zostało jak się należy. Państwo młodzi mieli mieszkać zimą w mieście, rozumié się przez miasto Paryż, Berlin, Rzym, Wiedeń, Warszawa; latem zaś bawić będą na wsi, w skromnym wiejskim domku: ten domek urządzi się w trzy miesiące, a oni przez ten czas pojedą na miodowe miesiące do Wenecyi. Pani Nałęczowa wyliczy równiuteńko dwakroćstotysięcy złotych posagu gotowizną, które pan Edward zahypotekuje na swojej majątkowej dzielnicy. Ślub odbyć się miał w sześć tygodni po deklaracyi w Częstochowie, poczem państwo młodzi wsiądą natychmiast do wagonu, a rodzina assystująca ruszy do domu.

VI.

KIEDY WESOŁO TO WESOŁO.

A już to wszyscy wyrachowali, że Edward będzie posiadał cały majątek po rodzicach, bo każdy

przypuszczał, że Eufemia za mąż nie pójdzie, kontentując się procentem od posagu aż do śmierci. Tak sobie planowali i starzy państwo Drzymałowie, nie przypuszczając nawet, ażeby znalazł się kto na świecie, pragnący posiadać córkę ich za małżonkę. Panna Eufemia jednakże, która bardzo długo zgadzała się z wolą rodziców i wierzyła w swoje smutne przeznaczenie, razem uczyła wielką rewolucyą w całej swojej istocie. Pokorna, cicha, potulna, pobożna, od konwersacyi z Władysławem na kozetce w czasie imienin Maryni, zmieniła się do nie poznania. Starzy państwo Drzymałowie byli sobie poczciwi ludzie; matka ile razy spojrzała na biędną kalekę, zalewała się łzami, rozpamiętawszy smutny jój los na świecie. Widząc to, poczciwe dziewczę na tysiące sposobów starała się przekonać matkę, że jest szczęśliwą, że jój nic na świecie nie brakuje, ażeby kochanej matce wyperswadować smutek ciężki, zatruwający życie. Jakoż dokazała swojego, matka była już spokojną i jój kochana Eufemia szczęśliwą, — wszelako zawsze dumającą i powolną. Kiedy tak nagle ożyła Eufemia pełném życiem, rozweseliła się, rozradowała, pani Drzymalina płakała znowu, przypisując humor kaleki radości z zobaczenia brata na szczycie pomysłności, gdy kocha i jest kochanym. — Co to za serce złote! mówiła matka: i ten skarb nikogo nie uszczęśliwi na tym świecie!.. za to dopiero duszyczka jasna i czysta Bogu wplecie się do aureoli promieniem chwały, gdy

się wyzwoli ze skaleczonego brzydota ciała!— Prawda, że złote serduszek! mówił pan Drzymała, głaszcząc pełniuchne policzki kochanej małżonki: — jakoś to i dobrze się stało, kiedy dziewczę doznaje wewnętrznego spokoju, — a imię Drzymalitów nie podupadnie drobieniem się majątku.

Więc oboje aż pieścili Eufemię kochaną, gdy okazała się wesołą i rozradowaną; matka ofiarowała jej przepyszne brylantowe kolie i fermoar bardzo kosztowny, a ojciec powiedział, że jest prawdziwą heroiną w rodzie Drzymałów, kochającą przede wszystkim wielkość imienia swojego!

Po takich pieszczotach garbulka wybiegała do swojego pokoiku, zamykała się, biegała jak szalona, ścisnęła zęby, związała rączki drobne w pięście twarde, aż czasem w tém konwulsyjnym pasowaniu wybiegły stłumionym głosem urywane słowa:

— Dam ja wam Drzymalici!.. Ja mam być ofiarą pychy waszej!.. Nie, ja powrócę do praw, które mi wydarliście!.. Tyś mię kochał ojczel!.. piąta Drzymalanka garbata... co za zbrodnia okropna kaleczyć biedne dziewczęta dla wzrostu fortuny!.. Nie zgarbiliście przynajmniej serca mojego... ono bije, bije gwałtownie... ono umie kochać!.. Zobaczysz Władziu jaką miłością zapłacę ci twoją szlachetność!.. Ty dojrzałeś w skaleczoném ciele duszę i serce, te skarby niebieskie... oddam ci je całe, ty będziesz najszcześliwszym, bo je posiędziesz na wieki! Obejdę się bez waszego posagu, chciwi ludzie, pożeraj-

cie wszystkie skarby ziemi, on mię kochać będzie bezposażną i kalekę—cóż to za tryumf!

Po tych wybuchach siadała do bióreczka, pisała długo na przeslicznym illuminowanym i koronką otoczonym papierze; potem brała salopkę, biegła do ogrodu na przechadzkę, ostrożnie zbliżała się do starej lipy, stojącój w rogu przy parkanach i swój maleńki liścik kryła w szczelinę kory, w umówione zapewne miejsce. Potem sięgała rączką w inną szczelinę, wyjmowała z niej większy cokolwiek biłecik, kryła go pospiesznie za gors sukienki, i uchodziła zaraz do dworu. Po tój spacerowój wycieczce była zazwyczaj wesołą, siadała do fortepianu, grała precudownie, oboje rodzice poili się rozkoszą słuchając tych koncertów, codzien nabierających więcej życia. Gdy grać przestała, ojciec ją pieścił, pieściła matka, a Edward odzywał się poważnie:

— Są skarby tajemnicze w duszy człowieka, które przewyższają to wszystko co ziemia przynieść może na rozkosze życia. Eufemia jest szczęśliwą, natchnioną... Gdy słucham jak ona exekwuje uczuciowe kompozycye, zdaje mi się, że tylko kochająca do szaleństwa kobiéta tak je wykonać może.

— Bo téż nasza heroina kocha do szaleństwa... kocha miłością godną wielkiej kobiety... kocha ród swój stary!...

Późnym wieczorem, pomimo że przymrozek na dworze, iskrzy się niebo na zachodzie, a na niebie granatowém gwiazdy błyszcą dyamentami i szma-

ragdami, co dowodzi, że chłód za wielki, Jadwisia spaceruje jeszcze po alejach ogrodowych, szeleszcząc nóżkami po opadających liściach złotych jaworu i lipy. Mama cieszy się bardzo, że Jadwisia dużo chodzi, bo Jadwisia krwista bardzo, co nie dobrze w jój wieku dziecinnym. Jadwisia korzysta z pozwolenia mamy, a tak biega szybko, że panna Kuchs nie może nastarczyć nogami, mdleje po trzecim torze w około ogrodu. Wtedy kochane dziecko chwyta swoją guwernantkę, sadza na ławeczce przy klombie środkowym, wymaga pieśzcotami aby nie ruszała się z miejsca, a sama biega jeszcze, a ile razy mija kochaną strażniczkę jój dzieciństwa, obsypuje pieśzcotami.

Razu jednego zdawało się panie Kuchs, że słychać szelest liści zdaleka w ogrodzie; lękała się bardzo, ażeby pies wściekły nie ukąsił kochanej Jadwisi; dla spłoszenia go chciała jój towarzyszyć, ale Jadwisia zaręczyła, że to złudzenie, że wiatr szeleści, a od przypadku wzięła parasolkę panny Kuchs na obronę i jeden prątek od pończochy, i znowu pobiegła żwawo, robiąc jeden tour jeszcze wkoło ogrodu. Wtedy panna Kuchs, pozbawiona jednego prątka, przestawała dzierzgać, zadumała się o Walhalli, usypiała najczęściej w złotych snach, a kochane dziecko oganiało się samo na świecie psom wściekłym po ogrodzie.

Kazio widząc, że jest najszczęśliwszym w świecie, gdy go kocha Jadwisia, nie długo już walczył ze

skrupułami honoru. Szczęśliwemu łatwo wytłumaczyć sobie przesady ludzkie; powoli tedy przyszedł do zdrowych pojęć o interesach ziemskich. Jadwisia była żywa i energiczna, przewidywała wszystko dobrze, wiedziała, że mama nie pozwoliłaby nigdy na jej związek z Kazimierzem. Ona tedy poddawała nieznacznie kochankowi odwagi do awanturniczych przedsięwzięć, pokazując, że nie rozumie granic w poświęceniach miłości. Gniew mamy łatwo przebłagać z czasem, a sercu cierpieć długo niepodobna. Powoli ułożyli sobie kochankowie zaślubiny tajemne, ażeby ich nikt już na tym świecie rozłączyć nie mógł. Kazio rozkochany miał się stać konspiratorem, obmyślić środki, na co wszystko kochankom brakuje zazwyczaj konceptu w chwilach stanowczych, i obejść się bez pomocy ludzkiej nie mogą. Jadwisia wtedy była drżąca, niespokojna, po każdej tajemnej naradzie z kochankiem, gdy nowe jakie pokazały się trudności. Bładła często, potem rumieniła się nagle, a biedna matka, aż kłopotać się poczęła, że Jadwisia taka krwista w dzieciństwie i już myśleć zaczęła na seryo o wyprawie do wód zagranicznych na wiosnę, gdzieby wyleczyła a razem i przebrała Jadwisię w długą sukienkę.

Byłyby jeszcze długo potrwały kłopoty Jadwisi, gdy tak rzadko znajdowała sposobność pomówienia z kochankiem tajemnie, aż podróż mamy do Wrocławia i Berlina za wyprawą, dała jej dwutygodnio-

wy czas do żwawej narady z kochankiem i dodania mu konceptu i energii.

Jadwisia tak wymanewrowała szczęśliwie, że jej do Wrocławia nie wzięli ze sobą. Miała matka z początku projekt odesłania Jadwisi do ciotki, ażeby jej samą z guwernantką nie zostawiać w domu, ale że Jadwisia zaczęła narzekać na ból głowy kiedy już były konie zaprzężone, pani Nałęczowa dawszy upomnienie pannie Kuchs, a napisawszy do Kazia żeby w jej nieobecności pilnował domu, zagładając co dzień — pojechała sobie szczęśliwie.

Przez trzy tygodnie codziennego widywania się bez przeszkody, spodziewam się, że mieli państwo młodzi dosyć czasu do urządzenia swoich interesów i rzeczywiście korzystali z czasu wybornie, jak to zobaczymy kiedyś.

Nareszcie powróciła kochana mama, wypakowała ogromne kufry z przeslicznymi sukniemi, bielizną, haftami, koronkami, które okrągluteńko kosztowały czterdzieści tysięcy złotych, nie mających nigdy już oglądać ojczystej ziemi. Bawiono się dni kilka oglądaniem tych przepychów mody i bogactwa sztuki; Jadwisię jednak wcale nie bolały oczy patrząc na to wszystko. Podziękowała czule kochanej mamie za przywiezione prezenta, a składały się one z porcelanowych figurek na dziecinną toaletę, dwóch sukienek wełnianych, jednej półkrynoliny, i dwóch par przeslicznych majtek bardzo gustownie haftowanych.

Matka aż uściskała kochane dziecko, że okazało się tak uradowaną z cacek, a w uniesieniu radości darowała jej swoją orzechową suknię w kraty, którą przerobić miano na ślub Maryni, zawsze atoli krótko z koronkowemi garnirunkami, takiemi samemi jak majtki.

Przyszedł nareszcie dzień stanowczy, zajechały powozy, cała rodzina ma jechać do Częstochowy na uroczystość zaślubin Maryni. Rzecz dziwna, że Jadwisia dwa razy w jednym tygodniu wyjeżdżając na wizytę, zawsze cierpiała niesłychanie na głowę, nie mogąc znieść jazdy. Myślała mama że tyłem siedzieć nie może do koni, bywają takie grymaśne natury; gdy pomieniała się na miejsce z Marynią, było jej jeszcze gorzej; nietylko ból głowy, ale nieznośne przyszły nudności. Gdy wsiadła do karety z mamą na wyjeźdném do Częstochowy, zaraz za bramą mało nie zemdląła. Biedna matka nie wiedziała sama co ma robić; podróż kilkunastomilowa, mogłoby się biedne dziecko rozchorować. Wrócili się tedy, rozpakowali rzeczy Jadwisi i panny Kuchs, które pozostać musiały w domu; Maryni łzy stanęły na myśl, że jedyna siostrzyczka nie będzie na jej ślubie. Jadwisia rozplakała się i jechać chciała koniecznie, ale poczciwa matka wołała dopuścić chwilowy ból serca, aniżeli nabawić Jadwisię choroby. Jadwisia tedy musiała zostać w domu, uściskała tylko Marynię na długo, a od kolan matki oderwać się nie mogła płacząc spazmatycznie prawie, aż

matka popłakała się i przeżegnała biedne dziecko krzyżykiem świętym. Już karetka znikła za górą, jeszcze Jadwisia stała zapłakana na ganku, spoglądając w stronę gdzie znikła mama i siostrzyczka. Uspokoila się nareszcie, położyła w łóżeczko i zasnęła. A panna Kuchs, poczciwe Niemczysko, na palcach wyszła z pokoju, przestrzegła w całym domu ludzi, żeby nikt najmniejszego nie zrobił hałasu, bo panienska usnęła.

VII.

PRAWIE JAKBY KONEC.

Kiedy w Częstochowie odbywał się ślub Maryni z Edwardem, działy się niesłychane rzeczy w domu u państwa Drzymałów i pani Nałeczowej.

Zapomniałem powiedzieć, że panna Eufemia na wyjeźdnem okazała się tak słabą i nie usposobioną do podróży, że ją biedaczkę musieli także zostawić w domu. Pojechali tedy państwo Drzymałowie, mówiąc do siebie przez drogę:

— Biedne dziecko! ona tak nie lubi exponować się na pośmiewisko ludzi!...

— O tak, nasza heroina ma osobliwszą ambicję, nie chce imienia swego rodu niezém znieważać!...

Nie pamiętam jaki wtenczas był plan jazdy po drodze żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, ale zdaje mi się, że punktualnie wychodził cug z Częstochowy

o godzinie drugiej po południu w kierunku ku granicy. Obrachowano tedy, że ślub odbędzie się o jedenaście przed południem; po ślubie małe śniadanko podróżne w hotelu, po którym panna młoda zdąży się jeszcze przebrać na długą podróż. Jakoż wszystko odbyło się wedle systematycznie ułożonego programu, nie brakło na nic ani minuty czasu; świsnęła nareszcie piszczalka parowa i lotem ptaka młoda para zaślubionych uciekała z ojczyzny, wedle najnowszej pobrawszy się mody.

O téj samej dobie w Drzymalinie, cała służba na nogach. W wigilią odebrała garbulka pudło jakieś pod swoim adresem, które zanieść kazała nierozpieczętowane do swojego pokoiku. Prawie połowę nocy przepędziła na modlitwie i pakowaniu w wasze od swojego powozu rzeczy na kilka tygodni potrzebnych. Służba dziwiła się temu wybięranu nagłemu, ale wykonywała we wszystkiem rozkazy panienki, której nigdy i w niczém sprzeciwić się nie było wolno. Równy ze dniem powóz zajechał, a panny służące i pokojówki ubierały panienkę w białą morową suknię z koronkowym garniowaniem, czesały jej włosy jak na bal starannie, a gdy już wsiadać miała do powozu, sama wzięła do ręki dwa niewielkie pudełeczka papierowe, bardzo lekkie; i książkę do nabożeństwa.

— Gdzie mamy jechać, proszę jaśnie panienki?
— spytał lokaj.

Do kościoła w Godziembach — odpowiedziała drżącym głosem; a gdy lokaj zapiał fartuch powozu, tylko dwoje oczu i pół noska było widać ze środka. Gdy zajechali przed kościół, zastali przed nim nowiuteńką karetę i drugą starszą landarę. Ukazał się téż niebawem i orszak strojny kilku osób wychodzący z plebanii, w którym dominował ustrojony balowo, z bukietem ślubnym u fraka Władysława. Był trochę blady, to prawda, miał oczy dziwnie biegające i niespokojne, wszelako żwawo poskoczył wysadzać z powozu pannę Eufemią, która stanawszy na ziemi, akuratnie sięgała szczytem głowy połowy jego talii. Krótkie były komplementowania się wzajemne; panna Eufemia weszła na plebania, przypięli jej welon gazowy i myrtową girlandę; uściskała ją ciotka pana młodego wyszukaną w jakimś gabinecie starożytności, niesłychanie podobna do niej córeczka, ubrana za druchnę; uklonił się wysmukły gilbas przedstawiony jako kawaler mający prowadzić pannę młodą do ślubu, uklonili się świadkowie, i ruszono do kościoła. Gdy orszak cały wlał się do wielkich drzwi kościelnych, uchyliły się drzwi organistowój chaty, wytknął najpierw nos granatowy, potem całą twarz czerwoną i otyłą figurę, kochany Sroczkosio, któregośmy poznali na konferencyi u Władysława, a potem w derdy pobiegł do kościoła i schował się w kącie najmniejszy pod chórem, wyglądając, czy aby na prawdę biorą ślub przed ołtarzem, czy to nie jaki nowy

fortel Władysława. Ale rzeczywiście obiedwie strony głośno, wyraźnie, zaprzysięgały sobie miłość i wiarę małżeńską aż do śmierci.

Po ślubie żwawo orszak wysunął się z kościoła, para młoda wsiadła do karety, za nią reszta towarzystwa i pokłusowali zakopać się pod ziemię, żeby nikt nie zazdrościł im szczęścia na tym świecie.

Już organista schowawszy do kieszeni żółciuteńkiego ludora miał gasić świece, gdy zatrzymał go proboszcz i czekać kazał na drugą parę. Organiście już jakoś z radości poczęło się mdło robić, chciał jak najprędzej pokrzepić się alembikówką, gdy te zapowiedziny proboszcza w nowe wprawiły go zdumienie. Jeszcze nie miał czasu rozmyślić się, gdy przed kościołem dało się słyszeć nowe trzaskanie z bicza i dzielne trzy czwórki wciągly na pagórek kościelny trzy powozy, pełne strojnych gości. Orszak był nieliczny, ale dorodny. Sroczkosio wysunawszy głowę z pod zasłaniającego filara, zobaczył trzy kobiety, pięciu mężczyzn, wszystko to jakby do ślubu ubrane, ale nie zobaczył panny młodej. Kobiety były stare jak świat, jedna tylko młoda dziewczynka w majtkach haftowanych, blada i drżąca, tulić się poczęła do piersi sędziwej matrony i szeptała coś płacząc.

— Bądź spokojna, moje dziecko; tak wszystko urządzone, że nikt nie dowie się o tym, prócz umówionych świadków.

Gdy to mówiła, jeden z mężczyzn pobiegł do kościoła, a przejrawszy wszystkie kąty, wyprosił nawet organistę; spostrzegłszy Sroczkosia pod chórem, wyciągnął za kołnierz i wyrzucił na dziedziniec kościelny. Kiedy orszak wszedł do kościoła, organista zamknął drzwi, pilnując nazewnątrz, aby tam nikt się nie dostał. Sroczkosio skonfundowany, z chytrą lisa zbliżył się do woźniców, dobył rubelka i wyszeptał:

— Dostaniecie na wódeczkę, na wódeczkę, ale powiedzcie mi, kto ślub bierze w kościele.... z ciekawości, z ciekawości tylko chcę wiedzieć....

Woźnice byli na kozłach wyfraczeni, mieli twarze pańskie prawie. Jeden z nich odebrał rubelka, rozśmiał się obejrzawszy że dobry, schylił się i szepnął Sroczkosiovi do ucha:

— Książę Wiśniowiecki z panną wojewodzianką Opalińską.... Tylko cicho, na Boga, bo to wykradziona panna....

— Zdaleka?

— Ztąd mil sto dwadzieścia....

— Święty Onufry!

Po tym wykrzyku nastąpił drugi, bo trzy naraz bicze spadły kochanemu komornikowi na plecy. Zerwał się jak zajęć ruszony z kotliny kochany komornik i pocałował do organistowej chaty.

Tymczasem otwarły się drzwi kościelne i wytoczył się orszak: panienkę młodziuchną w majtkach prowadził śliczny chłopiec, we fraku z bukietem ślubnym.

— Jadwisiu, po co zwłóczyć, i tak mama się dowie prędzej czy później; jedź ze mną!...

— Jeżeli mię kochasz, to mię pozwolisz odwiedzić do domu matki; z czasem ja jęj wszystko powiem sama, ale bez jęj błogosławieństwa niepodobna opuścić progów rodzinnych. Zaklinam cię! nie żądaj zbyt wielkiej odemnie ofiary.

Śliczny chłopiec ucałował Jadwisię, wsadził do powozu z jedną starą matroną, westchnął głęboko; ruszyły ekwipaże w rozmaite strony: po chwili było pusto na kościelnym dziedzińcu.

VIII.

E P I L O G.

Pozwólcie państwo, tylko jeszcze trochę cierpliwości. Są ludzie drobiaźdków nadzwyczajnie ciekawi; niejeden chciałby dłużyć w sprawach ludzkich, trzęsąc każdą odrobinę, a ja tego nie potrafię.

Po przyjeździe z Częstochowy, państwo Drzymałowie nie znalazłszy córki, rzecz naturalna, że pytali o nią. Służba wiedziała, że ona jest u męża, ale nic nie powiedzieli, bojąc się wrażenia, które przy złym humorze mogłoby się odbić na skórze ślepych wykonawców woli panienki. Jednakże oddali list, pozostawiony przez panienkę dla państwa.

Poczeiwa nasza heroina, zapewne znudziła się i pojechała do którejś ciotki!... Ale co ja widzę?!... czy mię oczy nie mylą?!... czytajno, zono!...

— Co takiego?

„Przeklęty niech będzie ród, który nacechował się zbrodnią zabicia okrutnego tyłu córek! Nie chcę waszego majątku, weźcie go sobie; ja uciekam od was, nie chcę być ofiarą waszój polityki zbrodniczój, — będę szczęśliwą: znalazłam chłopca, który szukał dla miłości serca i duszy, a nie pięknego ciała i posagu. Tój chwili jestem już po ślubie, mam swój dom i opiekę męzowską. Nie proszę was ani o posag, ani o błogosławieństwo; Bóg mi pobłogosławił: będę szczęśliwą.

„Wasza córka, Eufemia.”

— O ja nieszczęśliwa matka!.. cóż to jest?.. Na Boga, w tém wszystkiém straszna musi być intryga!.. O Boże mój, Boże! za cóż mię tak srogo ukarałeś!

— A więc nasza heroina jest na czysto awanturnicą?! No, proszę, kto się tóż to z tą garbulą mógł ożenić?.. Hej! Filipek!

Wszedł stary sługa siwy jak gołąb.

— Kto się ożenił z panną Eufemią?

— Pan Władysław z Psiój Górki.

— No, to przynajmniej, że herbowy...

— Po cóż ją wykradali... mój Boże! mój Boże kochany!

— Nikt panienki nie kradł, proszę jasnie pani, ubrała się i sama pojechała do kościoła.

— Dam hołyszowi te dwakroć sto tysięcy, która zahypotekowałem na dobrach moich Edwardowej i kwita z majątku... No, proszę, to szczęście, że sprawa z głodnym grosza!

W kilka tygodni po tym wypadku, pani Nałęczowa wyprawiła festyn uroczysty, na installacyą Jadwisi na dorosłą pannę, w dzień jej urodzin, co wypadło jakoś w początkach stycznia przy wybornéj sannie.

Stado konkurentów opadło panienkę. Jużto nie tylko stare suknie dostała po Maryni, ale i dawnych wielbicieli kilku. Była uciecha wielka, zaloty żwawe, Kazio wszystkim dodawał ochoty przy kielichu i tańcu.

Po téj zabawie kochana mama wzięła Jadwisię na konferencyą, przybrawszy wyprobowanej zdolności do namowy, znajomą państwu siostrzyczkę.

— Jadwisiu, chciałabyś męża? — spytała ciocia całując dziewczynę.

— Zapewne żebym chciała.

— Kto ci się podoba z wczorajszej młodzieży?

— Ten, który się spodobał cioci i mamie.

— A widzisz? zaraz ci mówiłam siostrzyczko, że z Jadwisią łatwiejsza sprawa; dziewczyna ma rozsądek. A więc przystajesz Jadwisiu?

— Pod jednym warunkiem...

— Mów, co chcesz; zrobię dla ciebie.

— Pobłogosław mię mama przedewszystkiém jak do ślubu...

To mówiąc ukłękła pokornie, a rozczulona matka błogosławiła ją i polecała Bogu jako pocziwe dziecko, kierujące się sercem. Cioci pięć łez upadło na próżną kanwę naszykowaną do haftu, tak była rozczulona.

— Teraz pomówmy o sprawie serca. Spodobał ci się Jadwisiu?

— Oj! bardzo, bardzo spodobał...

— Kochasz go?

— Nad wszystko w świecie!

— Zaślubisz go?

— Jużem zaślubiła, kochana mamó!

To mówiąc upadła na kolana i złożyła rączki jak do modlitwy, żebrząc miłosierdzia łzawemi oczkami.

— Przez Boga żywego! czy się nie mylę? Jadwisiu! mów!.. kogoś zaślubiła?

— Kazia, któregoś ty kochała, ciocia kochała, a cały świat uwielbia!

— Kazia? zaślubiłaś?!

— W dniu zaślubin Maryni...

— Dobrze.

I powstała poważnie, wyszła przed ganek, kazała zaprzęgać konie. Po chwili zajechał powóz przed ganek, a służący zameldował Jadwisi, że z rozkazu pani zajechał powóz, który ją ma natychmiast odwieźć do męża.

Jadwisia wstała z ziemi, bo dotąd klęczała; bardzo było jęj żałośnie; na dworze śnieg i zawieja,

ona nie wzięła nawet salopki, nikt jój nie żegnał: wsiadła i pojechała do męża.

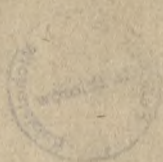
Po czterech latach Marynia powróciła do matki seperatką; akademik szalał w oryginalny sposób, nie marnotrawiąc grosza, ale marnotrawiąc szczęście małżeńskie: znudził, znękał biedną żonę, brakło miłości, wyrachowane bezpieczeństwo szczęścia małżeńskiego znikło!

Kazio przeniósł się na dzierżawę rządową, pracują oboje, nieźle im jakoś idzie; nie mieli posagu, troskliwych swatów: miłość starczy im na życie i chleb powszedni. Pani Nałęczowa radaby im dopomódz i dać posag, równy Maryni posagowi. Kazio po doznanej wzgardzie, wyprzysiągl się wszelkich darów swiekry; pracuje, dorabia się chleba i imienia, ale żonie o posagu nawet myśleć nie wolno. Miłość czysta, hypoteką ich szczęścia.

Władys bardzo szczęśliwy, pod pantoflem garbuli; po śmierci starych Drzymałów wyprocesował milion: ciekawym co mu złego przy milionie?

Pawełek dotąd wzdycha samotny na świecie; ciekawym co zrobi po rozwodzie Maryni? Powiadają, że dobry katolik.

K O N I E C .



Faint, illegible text, possibly a title or header, located in the middle of the page.

Faint, illegible text, possibly a subtitle or author information, located below the first line of text.



F

2253